

Nr. 30.

DNIA 30 LIPCA 1898.

ROK II.

# ŻYCIE

TYGODNIK ILLUSTROWANY LITERACKI  
ARTYST. i SPOŁECZNY



KRAKÓW

LWÓW

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:  
KRAKÓW, ul. św. GERTRUDY 7.



Wydawnictwo Młodzieży Imienia A. Mickiewicza.

Tom I.

# Artykuły polityczne ADAMA MICKIEWICZA

z obszerną przedmową.

— Cena 80 ct. —

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni J. ZWOLIŃSKIEGO i Spółki w Krakowie,  
ulica Grodzka 1. 40.

## SWOSZOWICE pod KRAKOWEM

*zdrojowisko wód siarczanych,*

przez największe powagi lekarskie polecane, siedm kilometrów od Krakowa oddalone, stacya kolei państwowej, z najwygodniejszą komunikacją (pięć razy dziennie koleją i cztery razy omnibusami zakładowemi).

Zakład posiada z komfortem urządzone mieszkania po cenach nader przystępnych i wszelkie wygody i uprzyjemnienia dla gości kąpielowych, jakoteż wyborną restaurację.

Kąpiele siarczane, jakoteż mułowe z najlepszym skutkiem bywają stosowane i zalecane w gościec stawowym i mięśniowym, w obrażeniach skóry, w chorobach skóry i nerwów.

Zdroje swoszowickie co do siły i skuteczności dorównują wszelkim rodzaju źródłom zagranicznym.

Lekarz zakładowy wykonuje mięsienie i elektryzowanie według najnowszych prawideł sztuki lekarskiej.

Magazyn obuwi

# LEON GAŁEK

KRAKÓW

ulica Floryańska 1. 24.

pod 3-ma dzwonami.

## KANTOR WYMIANY

filii c. k. uprzywil.

## BANKU HIPOTECZNEGO

w Krakowie,

przeniósł swe biura na Rynek gł. 42. kupuje i sprzedaje pod najkorzystniejszymi warunkami wszelkie papiery wartościowe, banknoty zagraniczne i monety.

Wypłata wszelkich kuponów. — Zlecenia z prowincyi uskutecznią się odwrotną pocztą bez dolczenia prowizyi.

Filia c. k. uprz. Galic.  
Akc. Banku Hipotecznego  
wydaje

asygnaty kasowe za oprocentowaniem

— 4% —

z 60-dniowem wypowiedzeniem.

## WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK

J. Gumplowiczowej

Plac WW. Świętych 8.

w Krakowie,

posiada najlepszy i ustawicznie uzupełniany nowymi nabytkami wybór powieści, utworów literackich itd. w kilku językach.

Bogato zaopatrzony dział literatury francuskiej.

Obsługa najszybsza! Nowości! Dzieła wyższej wartości literackiej w kilku egzemplarzach! Przy zakupach uwzględnia się życzenia P. T. abonentów.

Abonament można rozpocząć w każdym dniu miesiąca.

## „PRZEGLĄD FILOZOFICZNY“

kwartalnik.

Treść pisma stanowią artykuły oryginalne z psychologii, teoryi poznania, logiki metodologii, etyki, estetyki, socjologii, historii filozofii, oraz dział sprawozdawczy, obejmujący cały ruch filozoficzno-naukowy i zawierający: Krytykę i Sprawozdania, Przegląd czasopism, Wiadomości bieżące, Notatki filozoficzne, Bibliografię.

Jednym z głównych zadań „Przeglądu Filozoficznego“ jest roztrząsanie kwestyi, wywołanych życiem praktycznym, o ile te kwestye znajdują się w ściślejszym związku z zagadnieniami filozofii.

Prenumerata „Przeglądu filozoficznego“ wynosi: w Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2. Z przesyłką pocztową rocznie rs. 5.—, półrocznie rs. 2 kop. 50.

W Galicyi rocznie zlr. 7.—

Dla abonentów „Życia“ rocznie 5 zlr., półrocznie 2 zlr. 50 ct.

Redaktor i wydawca: Dr. Wład. Weryho  
Warszawa, Krucza 46.



„Życie“  
wychodzi w Krakowie  
w każdą sobotę.

Abonament kwartalny z przesyłką zlr. 2.60.

(4 mk 80 pf. = 8 franków = 7 szylingów  
= 1 dolar 50 ct = 5 rubli) roczny zlr. 10 40

**Uwaga:** Podniesimy opłatę dla Niemiec o 30 fenigów, dla innych państw zagranicznych o franka, z powodu podrożenia opłaty pocztowej zagranicznej przy obecnej wadze pisma.

Przedpłatę przyjmuje Administracja, tudzież wszystkie księgarnie i biura dzienników w kraju.

W cesarstwie niemieckim także urzędy pocztowe.

W Wiedniu skład główny w księgarni Fr. Bondego.

W Warszawie u G. Cetnerszvera.

Numer pojedynczy 25 ct.

Inseraty jednorazowe, wiersz 20 cent.

# ŻYCIE

## TYGODNIK ILLUSTR.

## LITERACKI ARTYST.

## I SPOŁECZNY.

Redaktor naczelny: Sewer-Maciejowski.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Artur Górski.

Kierownik artystyczny: Prof. Leon Wyczółkowski.

### Treść nru 30.

Jarosław Vrchlicky Giacomo Leopardi.

Jerzy Żulawski . . . Sonety

W. F . . . . . Sasza Schneider.

Adolf Przyjaciel . Gdyby miał milion.

Nadrój . . . . . Mądry chłop

Jan Azany tóm.

A. Lange . . . Wallijsey bardowie.

Paweł Szeerbart . Kapryśne słońce.

Pośród dzikich bestyj.

Pieczone gołąbki.

A . . . . . List lwowski.

Tomasz Czeszka . Z Wiednia.

Björnstjörn-Björn. Ponad sify (dramat).

Teatr ogródkowy w Krakowie.

Kronika

Korespondencya redakcyi.

### ILLUSTRACYE:

Teodor Rygier . Medalion A. Mickiewicza.

Józef Mechoff . Teodor Rygier.

J. Wojtala . . . . . Winieta.

### JAROSŁAW VRCHLICKY.

#### Giacomo Leopardi

w stuletnią rocznicę.

Potrójny jubileusz wielkich duchów tego stulecia obchodziła niedawno Europa: Palackiego, Mickiewicza, Leopardiego.

Rezultaty wielkiej pracy całego życia Palackiego i Mickiewicza noszą na sobie znamię pracy pozytywnej, są źródłem wielkiego ruchu umysłowego, który obejmuje całe narody, budzi nadzieje na przyszłość; — przeciwnie główna czynność Leopardiego rozplywa się w czystym pesymizmie, w negacji wszelkiego postępu ludzkości, w otwartym głoszeniu Nirwany.

Jest to rzecz godna uwagi i zarazem pouczająca. Trudno nawet skreślić jakąś paralelę między tymi oboma a trzecim. Jedno tylko ich łączy: Wszyscy oni wyrosli w jednym czasie i z narodów podległych uciskowi i niewoli. Ale tylko to jedno, nic więcej, zresztą każdy z nich szedł innemi drogami i każdy czerpał inaczej ze skarbnicy swego talentu, i doszedł też do rezultatów stanowczo odmiennych.

Palacki dokonał czynu olbrzymiego, stawszy się podwaliną wskrzeszonego życia Czech, narodowego i politycznego, Mickiewicz wyśpiewał pieśń bólu i pomsty, ale zarazem podał w formie najwyższego aryzmu, najczystszy i najsilniejszy dowód kulturalnej samodzielności i dojrzałości swego narodu; Leopardi, poeta i uczonec, opiewał tylko boleść, którą wszędzie spotykał i odczuwał, którą z siebie czerpał i poezję swą utożsamiał z boleścią ogółu, dawszy mu całą ewangelię i cały brewiarz nicości.

Tem odróżnia się on od obu swych rówieśników, których koniec minionego stulecia dał ludzkości. Z niedoli i ucisku Czech powstał Palacki a dzieła jego będą tylko wezwaniem do czynu i pracy; z niedoli i ucisku Polski powstał Adam, a jego pieśń rozpaczliwego nawoływania stała się chlebem żywota tysięcy; z niedoli i ucisku Włoch, niedoli, która wcieliła się w jego wła-

sną dolę jak symbol, powstał Leopardi, ale jemu boleść i przygnębienie nie dały tych skrzydeł, jak tamtym. Zapatrzył się w skamieniałe rysy Meduzy, która swym ciężarem miażdżyła jego i naród; rzucił się w jej objęcia i wypiastrzał teorię o »powszechnem nieszczęściu« istnienia i bezcelowości kosmosu (infelicità di tutto), ugrzązł i zmarł na tem stanowisku.

Zbyteczna dowodzić, że pozbawiony wszelkiej tendencji narodowej i humanitarnej ideał Leopardiego jest z punktu widzenia sztuki najczystszy i że poeta ten najbardziej zbliżył się do niego. Potrzebaby wielkiego kuglarstwa dyalektycznego, aby z zatrutego ogrodu jego olśniewających wierszy i jego prozy klasycznej wybrać cokolwiek, w czemby Leopardi mógł równać się z Mickiewiczem i Palackim. Rezygnacya jego bowiem jest tak ekskluzywną, tak ostrą i nieokreśloną, jego szyderstwo z jakiegokolwiek postępu ludzkości tak zjadliwe i trafne, smutek jego osobisty i kosmiczny tak głęboki i przekonywujący, jego dedukcyje tak logiczne i niewzruszone, że otwarta przepaść rozpaczczy ziele tu po wszystkie czasy niezmienna, nieubłagana.

Dość przeczytać jego »Palinodyę«, jego »Ginestrę«, którykolwiek z jego dyalogów jedynych w swym rodzaju »Operette morali«, a z pewnością odejdzie nam chęć wykładania tej ewangelii Nirwany w formie nowej.

Tylko czysta i wierna sztuka, którą dyszy poezya Leopardiego, zdoła nas utrzymać nad zawrotnemi jej przepaściami. Ból i nędza są udziałem jednostek i narodów — on to wysłowił dosadnie, a nie wiele trudu trzeba, aby tego dowieść. Dla filozofa jednak i humanisty nie wystarcza już samo skonstatowanie tego faktu; jemu nasuwa się zaraz kwestya praktycznego znaczenia, — jak stawić czoło tej nędzy, jak się wyrwać ze szponów tego bólu.

Leopardi pojął część pierwszą sercem poety; — o drugą część nie dbał, bo miał przekonanie, że wszelka pomoc stracona — albo raczej jest nią li tylko śmierć, nicość, zatrata wszystkiego. Ten gorzki sok poznania i przekonania swego wlał jednakże do amfor jedynie w swoim rodzaju piękności i doskonałości artystycznej, jako nikt przed nim i po nim. Garść jego poezyj



o klasycznej linii i czystości jest znakomitą grupą Laokonów i Meduz, niezmiernie poważną i wzruszającą mimo całego kurczu rysów twarzy i członków poskręcanych boleścią rozpaczłą. Amfory zdradzają dłuto znakomitego cyzelerza, ale wino w nich gorzkie, jakby z czarnych wód Acherontu czerpane.

Może ono być stałym napojem silnych, najsilniejszych raczej. Kiedy melodia jego mowy upaja, to treść cierpka działa na słabszą duszę trująco. Nie można podawać go tłumom, bo skutek byłby fatalny, — ale nie wolno odmawiać mu z tego powodu prawa do wielkości i nieśmiertelności. W osamotnieniu giganta stoi on bliżej ideału artystycznego niż inni.

Jerzy Żuławski

## SONETY.

### MYŚL TWORCZA.

Błogosławiona bądź mi, myśli twórcza,  
jedyna smutnych moich dni pociecho!  
Gdy ból zamieszka pod mą nędzną strzechą  
i chleb je ze mną zgryzota jaszczurcza,

gdy dłoń mą pęta niemoc światoburcza  
a nocy moich sen przeszłości echo  
płoszy wyrzutem, gdy węzową wiechą  
smagane serce w łonie mi się skurcza:

twoje potężne unoszą się skrzydła  
tam, gdzie ból każdy w perlę się skrzyształa;  
a duch mój próżen ziemskiego wędzidła

jak rumak gwiazdy kopytem rozpala  
i w skier tumanie w nieskończoność leci  
przez łąki, które sam stwarza i kwieci!

### SZCZĘŚCIE BOGA.

Oto jest boleść wszech żywota treścią!  
Im się byt który na śmiesznej drabinie  
tej wyżej wzniesie, bogaciej rozwinie,  
tem sroższą życie jego jest boleścią!

Robak co stopą przygnieciony ginie,  
mniej cierpi niżli zwierz, pierzem lub sierścią  
odziany, ten zaś mniej niż człek, niewieścią  
wykarmiom piersią, pan żyjącej glinie.

Cierpi chłop gruby i dzieciak nieletni,  
lecz im się człowiek bardziej uduchowni  
i myśli władzą więcej uszlachetni,

tem los mu boleć każe niewymownie...  
— Jakichż więc cierpień nosisz w sobie morze  
Ty, coś z wszech istot snadz najwyższy, Boże?

### FRYDERYK WILHELM IV.

1.

Król w parlamencie:

»Ja wasz książę! i nigdy w życiu nie pozwolę,  
aby stanął papieru zapisany świstek  
między mną a mym ludem! Jam poświęcon wszystkim:  
z woli bożej król! — Naród tam u nóg mych, w dole!

»Ja sam rządę i nigdy o poddanych wolę  
nie spytam, — nie dopuszczę, by jakiś tam chłystek  
dla mnie prawa stanowił, rwąc wawrzynu listek,  
który, jak pomazaniec boży, mam na czole!

»Nie potrzebne mi żadne martwe konstytucje!  
— ja sam łączę lud z Bogiem, niby mostu przęśła,  
a choć fala piekielna usiłuje stłuc je,

nie upadną! Sam Bóg im użyczy obrony!«  
— Tak mówił, a z zachodu ziemia się już trzęśła  
i jak rumak zrzuciła z grzbietu swego — trony.

2.

Lud przed balkonem:

»Racz-że, królu, zejść do nas! prosimy cię pięknie!  
Patrz! na ziemi przed tobą te skrwawione trupy,  
to są twoje ofiary, twej przemocy łupy!  
Lud przebaczy, jeżeli król nad nimi klęknie!

»Mów! wszak serce drży w królu kiedy dzwon zajęknie,  
zadrza ziemia i w niebo strzelą ognia słupy,  
gardła ulic zawali gruz i cegieł kupy,  
a młot krzepko na bramach pałacu zaszczęknie?

»A wiesz ty, jak krew w żyłach gra na barykadzie,  
gdy trup gęsty za wolność w około się kładzie,  
i jak serce się tłucze, gdy ulice ciemne

ogniem zioną, jak smoki straszne i tajemne?  
Stamtąd idziem! — z trupami, ale nie z żałobą!  
Królu! zdejmij kask zgłowy! wolny lud przed tobą!

## SASZA SCHNEIDER.

Ośmnaście kartonów, opublikowanych w wydawnictwie »Meisterwerke der Holzschneidekunst« (Lipsk, v. J. J. Webera), zaznajamia nas z pracami młodego artysty, które, znane dotąd tylko ciasnemu kółku gości wystaw w Dreźnie, obecnie płomiennym językiem przemawiają do wszystkich zwolenników śmiałych lotów sztuki. Kartonami swemi stanął dwudziestosiedmioletni Schneider obok Franciszka Stucka; jak on, pełen dramatycznych wybuchów i snów wizyonerskich — umie dla potężnych swych uczuć znaleźć symbole, niezawsze nowe i głębokie, ale bardzo często wstrząsające siłą swej fantazy i wspaniałością formy. Taksamo jak Stuck jest Schneider mistrzem techniki; występując tylko jako rysownik, daje kontury wprost monumentalne. Różni się zaś od mistrza secesyi monachijskiej pewnym pierwiastkiem, który zawdzięcza może płynącym w jego rysach kroplom krwi rosyjskiej, krwi Dostojewskiego, i Tołstoja: przez Schneidera przemawia nietylko wielki artysta, lecz także człowiek, głoszący pewne idee społeczne i etyczne. Stuck służy sztuce dla zasady sztuki; gdy symbolizuje straszne widmo wojny, mamy przed sobą jeźdźca-demonia, który zimny i miedziano-bezwzględny kroczy naprzód po trupach i łunach; wokoło zniszczenie, koń pod nim ze znużenia pada, on kroczy ciągle naprzód, śmierć siejąc i grożąc. Obraz ten nie jest protestem przeciw wojnie; co o idei wojny myśli artysta — nie wiemy; dla niego jest ona tylko problemem efektów malarskich, dla niego jest ona jakimś fatum nieubłaganem, jakąś nadnaturalną, żywiołową siłą, której ni bogowie ni ludzie oprzeć się nie zdołają. Malował głową, nie sercem. Taksamo nie ma żadnej teleologicznej idei »Grzech«; demon-kobieta jest przedstawiona z całą suggestywną potęgą piekielnych oczu i hipnotyzującego ciała — co nie odstrasza, nie moralizuje, lecz raczej w swą przepaść ciągnie. U Saszy Schneidera inaczej. Poza artyzmem jest u niego zawsze idea, poza sztuką — krzyk człowieka, drczonego bólami i zagadnieniami cierpiącej ludzkości. Stuck patrzy okiem naturalisty; twory jego fantazy, jak wszystkie elementy przyrody, są koniecznością, a on stara się tylko odda-



wać je z całym wyteżeniem plastyki; Schneider stawia obok nich swoje »czemu«, dodaje swoje »jak«... Najwięcej zatrudnia go problemat etyczny: więc Judasz obok Chrystusa, szatan tryumfujący nad zwłokami, zdjętymi z krzyża; anarchista, Mamon i jego niewolnik. Zawsze potrąca nie tylko kręgi fantazyi, lecz także struny myśli krytycznej, myśli pełnej współczucia — współcierpienia...

Obaj są potomkami duchowymi Boecklina; Stuck więcej odeń zależny niż Schneider. Indywidualność Boecklina, stanowisko jego zupełnie odrębne a reformatorskie w sztuce, stanowi fakt wprowadzenia do malarstwa fantastycznych symbolów i »symfonii kolorystycznych« dla uzmysłowienia pewnych nastrojów duszy. Nie mógł Boecklin zyskać uznania za młodu, gdy ojczyzna jego zrzucała z siebie fałszywą purpurę romantyzmu, aby wziąć w ręce realistyczny aparat fotograficzny, gdy miejsce Kaulbacha i Pilotzego zajęli drobiazgowi, wierni pejzażyści düsseldorfscy i malarze (nieraz nawet tak wielcy, jak Menzel) naturalistyczni i rodzajowi. Wszystkim brakowało duszy. Wcześniej, niż w literaturze, rozpoczął Boecklin w malarstwie zwrot przeciw martwemu obiektywizmowi, przeciw zabijaniu indywidualności; z głębi śmiałej, niewyczerpanej, jak panteistyczne bóstwo, fantazyi, wy dobył niezliczony szereg faunów, satyrów, nimf i tudzież grą barw gorących jak jego serce, zmiennych, jak mistyczne procesy uczucia — zaczął symbolizować wszystkie nastroje rozmarzonej, to rozhułkanej duszy: więc grozę i zadumę, radość wiosny i grę fal morskich, walkę centaurów i misterye gajów świętych, tragedję Ukrzyżowania i smutek wyspy Zmarłych... Była to proklamacja panowania subiektywizmu nad aparatem realistycznym, zwycięstwo prawa duszy, prawa fantazyi i dążenie do uduchowienia, do upiększenia, do odczucia wszechświata, nad zasadą podporządkowania człowieka martwej materii; zwycięstwo poezji nad prozą, dążenia, aby sztukę zrobić kapłanką, tłumaczką natury, nad dążeniem, by ją zrobić tylko odbłaskiem, choćby bardzo świetnym, jej form zewnętrznych. To zwycięstwo osiągnął Boecklin i gdyby nic więcej nie był dokonał, gdyby miał tylko przewrotną tę ideę nawet bez kolosalnej siły twórczej, zasługiwałby już na przydomek Wielkiego. Zrozumiano go też w epoce reakcji przeciw doktrynom jednostronnego weryzmu, w epoce przyniesionej przez pikethaubę, wznoszącą się w Niemczech nawet nad sztuką w postaci obrazowych manifestacji dynastycznych i historycznych — Boecklin stał się też bogiem, hasłem, skarbnicą wszystkich świeżych, zapalem tchnących umysłów.

Sasza Schneider jest więc symbolikiem, jak był nim każdy wielki poeta, począwszy od twórcy »Prometeusza«, kończąc na twórcach »Hamleta«, »Fausta«, »Farysa«; uplastycznia jednak nie abstrakcyę, lecz bole, tragedję i ironię walczącego człowieczeństwa. »Poczucie zależności!« — wszak to problemat społeczny, taksamo jest nim »anarchizm«; możeż to być tematem dla malarza? Tak, zdawałoby się, lecz w sposób bardzo niemalarski, w sposób chyba nowelistyczny. Realista podjąwszy te tematy, dałby z życia wziętą fabułę: w pierwszym wypadku — nędzarza, uginającego się pod brutalnością bankiera lub innego władcy; w drugim — Ravachola lub Caseria o potwornem obliczu i wyrazie najsilniejszej grozy i groźby. Inaczej symbolista. »Zależnym« czuje się młody człowiek od olbrzymiego potworu, którego łeb, gubiący się w bezkształtnej masie wypełniającego połowę widnokągu ciała, utkwiał w swej ofercie straszne a bezduszne ślepia. I do tej ohydnej potęgi młodzienc jest przykuty; twarzy jego nie widzimy, lecz ze schylonej głowy, z opadłych ramion przemawia taki bezwład, takie wygaśnięcie sił, taki zastygły smu-

tek, iż cicha, niema rozpacz przygnębiająca całe życie — beznadziejnie! na zawsze! widza swem wrażeniem opanować musi. Fatum to straszliwe ciąży na człowiekiem i ten jest zależny — skazany — i nic go uratować nie zdoła...

W drugim kartonie mamy »anarchistę«. Stoimy przed bramą pałacu... asyryjskiego. W ogóle w twarzach i motywach asyryjskich Schneider się lubuje; ożywił je — jeżeli się nie mylę — poraz pierwszy i osiąga niemi efekt nadzwyczajny. Czy to gdy przedstawia »Króla ziemi«, który potężny, zimny, opiera się o tron, depcząc cierniową głowę Jezusa, czy maluje ową bramę, ozdobioną potwornymi emblematami głów o klinowych brodach — uderza typ asyryjski naszą fantazyę w sposób bardzo silny, wywołuje odrazu pożądaną przez artystę asocjacyę idci, więc przypomnienie okrucieństwa, rozpusty, orgii zbytków. I przed bramą takiego Babilonu stoi młodzienc — ciało wyprężył, ręce obie wznosił do głowy, a w nich dymi się bomba, mająca niebawem spaść na gniazdo nierządu. Tysiące lat stoi ono i opiera się burzom, nie oprze się jednak temu demonowi zniszczenia, który ślepy i nieubłagany wysadzi je z posad wraz z jego wszeteczeństwem.

Kartony powyższe dają poznać główny rys charakteru artysty; jest nim patos, pogląd na świat poważny, wprost tragiczny. Jako młodzienc porwał się odrazu na najwyższe zagadnienia, jakie duchem ludzkim wstrząsają, jakich przed nim sztuka może nie traktowała, umiał się wżyć w nie z wrażliwością, cechującą najsubtelniejsze natury artystyczne, umiał wchłonąć w siebie cierpienia i walki najgłębsze i odtwarza je z niebywałą choć nie wszędzie jednakową siłą. Takie usposobienie musiało sprowadzić go do tych kart dramatycznych w dziejach duszy ludzkiej, które stanowią misterye Chrystusa. I rzeczywiście poświęca im Schneider znaczną część swoich kartonów, choć przez to nie jest jeszcze — jak niektórzy chcą — malarzem religijnym; nie chodzi mu o gloryfikacyę wiary, o podnoszenie uczuć petyzmu, lecz o obrazy malownicze i nastroje wstrząsające. Najpiękniejszymi z tej dziedziny są kartony przedstawiające scenę z sądu ostatecznego, dalej Judasza, oraz kazanie Jezusa. Na pierwszym widzimy Chrystusa sądującego; przed nim klęczy Judasz Iskariot; Chrystus, w kapłańskiej szacie, tkanej gałązkami cierniowemi, patrzy na zdrajcę łagodnie i przenikliwie, a on wyciągając dłonie z woreczkiem srebrników, przegina się konwulsyjnie, z wyrazem cierpienia tak strasznego, że cała groza obłąkania z bólu nam się udziela. Postacie symboliczne, niektóre bardzo oryginalnie pojęte (anioł sprawiedliwości ma szatę o niezliczonym mnóstwie oczu), uzupełniają tę scenę — mimo obrazu nieludzkiego bólu — pełną majestatu. Rozpacz, podniesioną do potęgi może jeszcze straszliwszej, widzimy w kartonie następnym. Judasz ucieka przed obrazami sumienia; przed oczyma majaczeje mu ciągle widmo krzyża, całe ciało swoje czuje oplecione kolcami korony cierniowej, gdzie nogą stanie, uderza o srebrniki. I tak pędzą go widma zbrodni światami a wzrok jego wyraża bezdeń katuszy... Widzimy najrozpaczniejsze tragedję ludzkości — i po co? zdaje się pytać artysta — po co? Oto na wstępnym kartonie zstąpił Chrystus z krzyża, na którym widnieje napis: »wolność, równość i braterstwo«, i głosi ludziom swą ewangelię, za którą umarł, ci jednak patrzają nań tępo, bezdusznie, a z za krzyża wychyla się łeb małpy-szatana, zatruwając powietrze swą ironią, która wyśmiewa męczeństwo idealizmu, swym oddechem, który niesie kłęby dymu — rewolucyi...

Tak potężnym głosem umie przemawiać młody malarz, i to przy pomocy techniki, która jest arcydziełem rysowania. Schneider nie należy do tych zwolenników modernizmu, którzy pogardę dla konserwaty-



wnych form okazują przede wszystkim w niedbałym traktowaniu zasad rysunku i harmonii.

Wielbiciel ludzkiego ciała maluje figury — conajmniej farsy — nagle, a rzuty swego ołówka umie tak ożywiać, iż linie ciała wyrażają całe gamy uczucia! Niektóre postacie (»Zależnego«, Judasza, »Frosta«) w wymowie naprężonych, bezwładnie opadłych lub konwulsyjnie kłębiących się muszkułów — przypominają wprost akty największych mistrzów, np. Michała Anioła.

Nie wszystkie utwory Schneidera stoją na jednokowej wyżynie; niektóre (np. »Chrystus w piekle«) są dość konwencyjonalne. Granicę między monumentalnym a teatralnym niezawsze szczęśliwie przekracza. Co gorsza, ostatnie jego prace nie świadczą o postępie: powtarzają dawniejsze motywy, albo wpadają w zimną, sztywną allegoryczność (»Geniusze historii«, »Chór męski«). Dość konwencyjonalnie wyglądają też rysunki Schneidera do pierwszej części »Fausta« Goethego. Jeszcze jedno: artysta w kartonach swoich nie ukazał nam dotąd ani jednego aktu — kobiecego. Niewiadomo, czy czuje tu granicę swego talentu, czy też swojej filozofii. W każdym razie to, co dotąd dał, wystarcza, by mu w sztuce zapewnić stanowisko odrębne a bardzo wybitne. Urodzony w Rosyi, posiada Schneider fanatyzm ideowy obok niemieckiej sumiennosci technicznej — dużo więc po nim można się spodziewać.

W. F.

## GDYBY MIAŁ MILION.

Profile.

II.

(3) W krotkim czasie zostali obaj Grzanowscy popularni sympatyczni, kochani, nieoceni, zajmowano się ich przeszłością i planami ich na przyszłość, wszędzie widzieli dokoła uśmiechnięte serdeczne twarze. Rozbili z kuzynkiem namioty w dzielnicy, która miała charakter polskiego przedmieścia St. Germain w prastarej stolicy Piastów i tu postanowili zabawić do końca karnawału, poczem p. Saryusz miał wpaść na dzień na wieś, skontrolować gospodarke dzierżawcy pana Jakóba Złotogórskiego, poczem dopiero mieli wyjechać zagranicę, by rewizytować panią Kulturę, która za swoim pobylem na wsi galicyjskiej z tak niefortunnej przedstawiła się strony. Tymczasem zaś wraz z attachem swego miliona zawiązywał p. Saryusz liczne i znakomite stosunki, wchodził w arystokrację i karnałował. Kuzyniowi sterował przez wysokie progi, a Saryusz wjeżdżał na salony, na które zwykłemu synowi człowieczemu trudniej się dostać, niżli wielbładowi przez igłę uszko. Szczęśliwym trafem zdarzyło się, że tego sezonu koczowały w mieście na gościnnych karnawałowych występach dwie familie hrabiowskie, obdarzona każda trójką córek i jedna hrabina wdowa z dwoma córeczkami ulomnymi, ale bardzo, bardzo sympatycznymi, wobec czego uważano za stosowne dać przywódcom złotej młodzieży *carte blanche* na zaszczytujące prezentowane i wprowadzanie w zaczerowane koło historycznych nazwisk, i takich panów, którzy choć nie z Braminów kasty, ani mają kolligacji z Braminami, ale są dobrą partją maryażową t. zw. są gentlemanami, mają wykształcenie salonowe i piękny o minimalnym dochodzie rocznym 20000 złr. charakter. Pan Saryusz miał charakter jeszcze piękniejszy, był na Grzanowie Grzanowskim herbu Wezele, wskutek czego stał się partją sezonową *prima qualite*, takim Saryuszem, który przy końcu sezonu mógł sobie swobodnie pierwszy proponować Księżciu Piotrowi tykanie, a któremu hrabia Paweł swobodnie mógł pozwalać oflirtowywać swą żonę... Niepotrzebnieś dał hrabiemu zaraz całe 50 tysięcy... mentorował nietaktownie zirytowany kuzyn. Można się go było pozbyć jakimi dwudziestoma... Oż z tego, że hrabia, hrabia, że matka jego księżniczka, no, no, naciąga jak inni. Powinieneś przestać raz być szlachetką z milionem, a zostać milionowym szlachcicem! Szlachetka słuchał, korzystał i dość prędko nabierał swobody, pewności, a nawet arogancji. Jużto arogancja zawsze będzie przymiotem starej rasy, przykładem także żydzi. Bo też go kochano i psuto. W kasynie końskim zrobiono go dygnitarzem w Klubie wyścigowym wydziałowym, w Kole agrarnym dygnitarzem wydziałowym, Towarzystwem św. Wincentego à Paulo walczyło o niego z Towarzystwem Misyi Zanzibarskich, a dwie sym patyczne hrabianki pożądały go jak Zbawienia wiecznego, kochały go, jak mamę, papę

i Bożię, a kokietowały go, jak się tylko *prima quality* partyę kokietuje.

Karnawał przechodził, małe haracze karciane, klubowe pożyczki i karnałowanie wyciągnęły przeszło kroć, conto hrabiego Piotra przeszło półtora krocia. Rezultat finalny: kilkadziesiąt ukoronowanych przyjaciół, zaszczytna opinia przyjaciela domu hrabiostwa Piotrowi, kilkanaście zaproszeń na polowania w poście, godności klubowe i turfowe i... tytuł.

Tak jest p. Saryusz Grzanowski wykazał się tuzinem protoplastów i dzięki wpływom został... szambelanem J. Cesaarskiej Mości. Przy tej okazji dał bal kawalerski z muzyką cygańską i węgierskimi szansonetkami, 5000 złr. Towarzystwu św. Wincentego i ufundował dwa stypendya akademickie dla ucznia, szlacheckiego pochodzenia, rodem z ziemi sannaockiej, dla studyów agronomicznych za granicą. Życie towarzyskie nie przeszkadzało mu zresztą wcale popierać sztuk pięknych... a wesołych, literatury... żurnalów i cenników win, nie przeszkadzało ocierać łyż biednym... szansonetkom i cyrkowkom.

Pańską fantazją ruszony sprowadził na przedstawienie Kościuszki pod Racławicami 100 chłopów ze swoich dóbr i etował ich przez dwa dni, o czem i gazety dużo przecież pisały.

Tak więc i sam używał i innym używać pozwolił, a milion w rękach dojrzałego, rozsądnego obywatela nie podwoił się wprawdzie jak w tych kupieckich rękach nowożytnych żydów Anglików, ale rozehodził się z przerażającą szybkością między ludzi, którym okrucy jego najniższe więcej szczęścia przynieść mogły niż szambelanowi Saryuszowi: pałac, fontanna, Róża, kuzyn, hrabina i wielki świat z szerokimi stóskami. Pan Saryusz dobiegał do drugiego momentu, w którym po raz wtóry już ogarniało duszę przerażenie i groza nad własną straszną lekkomyślnością. Postanowił ratować resztki, wracać na wieś, zerwać kontrakt dzierżawny, gospodarować, zacząć pracę dla społeczeństwa, dla dobra obywateli, biednego panie narodu. Postanowił kandydować na posła zostać marszałkiem powiatowym, ratować Ojczyznę i resztki miliona.

... Oj to, to, mój szambelanie, pouczał hr. Piotr, służba krajowi, to nasz wielki święty obowiązek. A komu więcej dane od tego więcej będzie żądane. I to słuszne, bardzo słuszne.

W myśl tej sentencji w dwa dni później zażądał od Saryusza na razie dziesięć tysięcy na słowo, poczem obaj zapomniawszy o swej żonie, o kuzynku, pierwszym mistrzu na drodze życia i o całym świecie galicyjskim, wielkim, świętym obowiązku. W śród popielcową expresem pomknęli via Wiedeń, Monachium, Kolonia Bazylea do Paryża, gdzie każdy Polak szanujący się, tj. należący do towarzystwa i posiadający resztkę miliona powinien być, aby poznać cywilizację w największym jej rozkwicie u źródła samego... na deskach Bouffes Parissiennes, widzieć boską Yvette Guilbert, boską Cleo de Merode, boskiego Xanrofa, boski absynt i Kankan.

Teraz siada przy oknie sztywnie i prosto, z niezdrowymi ceglastymi rumieńcami, z starannie wyczerntonym wąsem w małej ordynarnej cukierni prowincjonalnego miasta galicyjskiego. Jest agentem Tow. Wzaj. Ubezpiecz., ma filię w W..., dwa pokoiki od frontu z ogródkiem bardzo ładnie urządzone mnóstwo fotografii, biletów wizytowych, kilka dobrych obrazów i dywanów, rasowego doga. Żyje wspomnieniami z niedalekiej przedwczorajszej przeszłości i podłym wiktem z pierwszej restauracji w W... Po obiedzie idzie do brudnej cukierni (pamięta dobrze angielską, Tortoniego, Sachera) na czarną kawę, pożał się Bogu jaką. Stracił wszystko i ponad wszystko, bo i zdrowie i humor i siebie. Do cukierni schodzą się figury z miasteczka: hałaśliwi, gadatliwi, ordynarni i głupi w każdym celu. Nie patrzy na nich, nie widzi ich, nie znosi tych panów. Czyta gazetę, zapala cygaro, szklannym okiem patrzy przez okno uśmiechając się dziwnie a gorzko... W powiecie ktoś inny został posłem, marszałka wybrali tego co dawniej, kuzynek żeni się bogato w Warszawie, był łaskaw nawet list napisać, tam gdzieś daleko wre życie, wielkie gorące, szalone, gdzie on mógł królować, ludzie bawią, szaleją, denerwują się, biegną, tworzą, budują, niszczą... żyją, a on tu ma spędzić może i całe życie... on szambelan Saryusz partya *prima qualite*, Paryżanin... milioner... milioner.

Wtedy oblewa go zimny pot, rozpacz ścisła mu gardło, straszny żal zaćmiewa oczy. Wstaje sztywnie, płaci, czasem spostrzeże w lustrze drwiąco uśmiechniętych chłopców lub »panów«, wychodzi.

Wraca do domu złamany, siada w starym fotelu i patrzy godzinami na ścianę zawieszoną fotografiami... Iza... Irma... Róża... Ninette... Fanchon... Mimi... ten i ów... w środku dawny stary dwór ojca i matki w Grzanowie...

Patrzy i Iza mu w oczach zawisa.

Adolf Przyjaciel.



## MĄDRY CHŁOP.

Z teki szkiców.

(Ciąg dalszy.)

Na drugi dzień przywitał Ratyński dawnych, a zaznajomił się z nowymi kolegami w laboratorium Wundta. Towarzystwo było jak zwykle mieszane: Niemcy, Amerykanie, jeden Serb i jeden Rosyanin. Przygotowano powoli eksperymentu, jakie każdy miał wykonać w bieżącym półroczu, więc było dużo gwaru, chodzenia i sprzeczek, bo wszyscy chcieli mieć osobne sale dla siebie; najlepsze przyrządy i środki pomocnicze, nie wydając nic z własnej kieszeni, i pierwszy asystent, czuwający nad porządkiem i zastępujący

do słowiańskiej, jak słowiańska do germańskiej». »Zobaczmy« powiedział Ratyński, a potem zapytał: »A ze swymi ziómkami nie masz pan kłopotów?« »No, jeszcze ujdzie. Prawdziwy kłopot to mam tylko z Weissenbornem, który, chociaż strasznie nieporadny i niby wystraszony, zacięty jest jak żyd, kiedy chodzi o jego eksperymentu i naukę. Ale zdaje mi się, że właściwie więcej kłopotów z nim będziecie mieć panowie, niż ja« dodał zwracając się do Richtera. »Jeszcze jak, odrzekł tenże zapalczywie. To jest nieznośne, aroganckie indywidualum. On by chciał wziąć naukę w monopol: on pierwszy musi czytać nowe pisma i książki z czytelnik, on prowadzi dwa eksperymentu, a jeden już rozpoczął. Pozabierał, co mógł i teraz zamknął się w ostatniej



MEDALION A. MICKIEWICZA.

TEODOR RYGIER.

Wundta, był w niemałych opałach, aby wszystkich zadowolnić.

Właśnie załatwiwszy jakąś sprzeczkę zbliżył się do Ratyńskiego, rozmawiającego z Rosyaninem Kryłowem i tłustym, białym Niemcem Richtermem, i rzekł śmiejąc się: »Nie, naprawdę, w laboratorium chciałbym mieć samych Słowian. Z panami zawsze łatwo dojść do końca, bo jesteście grzeczni i chętnie ustępujecie. Ale taki Amerykanin, jak przyjedzie do nas, to mu się zdaje, że całe laboratorium powinno być na jego usługi i jeszcze wymyśla«. »Ma rację, rzekł Ratyński. U mnie pan też nie rachuj na grzeczność słowiańską, bo jadąc tutaj, zostawiłem ją w domu«. Asystent śmiał się i mówił: »Nie boję się; jeszcze jej panu dosyć zostanie. Bo pan masz grzeczność polską, a ta ma się

sali, żeby mu nie przeszkadzać. Pytać go o co, to odpowiada: Przepraszam, ale teraz nic nie wiem; pan mi przeszkadza; ale sam wypytuje wszystkich o ich eksperymentu, co, jak, narzuca się każdemu do współpracownictwa i tak dalej bez końca. No ja zaczynam rozumieć to wszystko, bo mam silne podejrzenie, że to żyd. Ale ja to sprawdzę zaraz, a wykluczmy go przynajmniej ze związku filozoficznego«. Asystent zrobił minę, jakby nagle zrozumiał postępowanie Weissenborna i rzekł przeciągle: »Taak? to możliwe, on ma coś żydowskiego; wybadaj pan to. Ale tymczasem muszę iść do niego, bo zabrał jedyny porządny lineal, którego mi koniecznie potrzeba«.

Ratyński, obznajomiony dobrze z gwałtownym antysemityzmem Niemców i ich wielką podejrzliwością



na tym punkcie, poszedł z asystentem, aby zapoznać się z owym widocznie bardzo niepopularnym Weissenbornem. Ten, zajęty w ostatniej sali doświadczeniami, o ile i jak prędko są wstanie ślepi oznaczyć dokładnie kierunek i odległość rozmaitych słyszanych odgłosów, otworzył drzwi na groźne wezwanie asystenta i stanął patrząc na niego z oczekiwaniem. Ratyński poznał go od razu: to był człowiek, który wczoraj rano chodził po promenadzie z parasolem i książką w ręku. Zaciekawiony jeszcze bardziej, powiedział mu swoje nazwisko, a asystent rzekł równocześnie najbardziej stanowczym tonem, na jaki się mógł zdobyć: »Panie, cóż to znaczy! porwałś pan najlepszy lineał. Mnie go koniecznie potrzeba«. Weissenborn, wzięty we dwa ognie, zrobił uroczystą minę; uklonił się kilka razy Ratyńskiemu, opuszczając ręce, i rozciągając usta, co miało prawdopodobnie oznaczać uśmiech; a potem cofnął się wystraszony, podniósł na asystenta wielkie, błędne oczy i gestykulując chudymi palcami koło okularów, nosa i ust rzekł: »Ale panie doktorze, mnie także jest koniecznie potrzebny«. I cofając się ciągle chwycił szybko lineał leżący na stołku, schował go za siebie i nie chciał oddać na żaden sposób. Asystent zagroził, że powie Wundtowi, ale nic nie wskórał i odszedł oburzony, zostawiając ubawionego tem wszystkim Ratyńskiego. »To niech kupią drugi, rzekł teraz zuchwale Weissenborn, ja nie mam pieniędzy«, a zaraz potem zaczął opowiadać Ratyńskiemu o swych doświadczeniach i wypytywać go, co on o nich myśli, jakby je urządził i t. p., bo Ratyński pisał już w podobnej materii.

O szóstej wyszli razem z laboratorym. Ale iść z Weissenbornem przez ulice nie należało do wielkich przyjemności, bo był nad wyraz nieporadny, nieśmiały i krótkowidzący. Chciał wszystkich wymijać, więc wpadał ciągle na kogoś, odskakiwał, poprawiał kapelusz i okulary i znowu wpadał na kogo innego. A kiedy tak biegał po chodniku w różne strony z wystraszonymi oczami, wielkim parasolem pod pachą i głośno rozprawiający, stawali ludzie oglądając się za nim ze śmiechem. Idąc z Ratyńskim był nadto zmuszony patrzeć ciągle do góry i kłusować, bo był mały, a Ratyński, nie tyle egoista, ile nie zadający sobie trudu, żeby się troszczyć o drugich, szedł wielkimi krokami.

Zaraz na drugi czy trzeci dzień chodził Ratyński wieczorem z zadartą głową po jednej z wąskich uliczek śródmieścia, szukając mieszkania Weissenborna. Znalazszy wreszcie kamienicę, wydrapał się na czwarte piętro i stał chwilę na ostatnim schodzie, nic w zupełnej ciemności, tu panującej, nie widząc. Zrobił parę kroków naprzód i wzdrygnął się, poczuwszy nagle na szyi — sznur. Więc rzucił się w tył z wyrazem »psia-krew« na ustach i zapalił zapałkę, aby się przekonać, co za zdrada kryła się w tym korytarzu — ale zaraz roześmiał się, widząc rozciągnięty na poprzek a nisko sznur z kilku kawałkami bielizny. Na prawo, na niskich drzwiach był przybity bilet Weissenborna, który zawiadomiony przez gospodynię, że ktoś przyszedł do niego, uchylił z przerażeniem drzwi swej nory i patrzył przez szparę pełen niepokoju. Dopiero słysząc głos Ratyńskiego poznał go, wykrzywił twarz napodłuz na znak uśmiechu i zadowolenia, poczym otworzył drzwi całkiem i przez chwilę udawał, że wie, jak się ma zachować jako gospogarz. Ulokowawszy gościa na wysiedzianej kanapie przed stołem, kłaniał się chwilę z opuszczonymi rękami i wykrzywioną twarzą, a potem skoczył do półek i zaczął taszczyć książki, małe i wielkie. Kładł je przed Ratyńskim, otwierał, czytał, zamykał, przynosił nowe, odskakiwał, przewracając oczy nad głupotą jednych, przyskakiwał, rozciągając usta z zachwytem nad mądrością drugich. I z tej śmiesznej, drobnej, chudej

i chorowitej istoty była ogromna siła: wyglądał jak sam czysty popęd ludzkości do wiedzy i badania, zaopatrzone w tyle tylko ciała, ile koniecznie potrzeba, aby być istotą, nie abstrakcją.

Dopiero w kilka godzin, kiedy się obaj zmęczeni, zesła rozmowa na inne tory i Ratyński dowiedział się, że Weissenborn pochodził z Austrii i był uczniem Brentana w Wiedniu; że żyje w biedzie, bo miał stały wprawdzie, ale tak mały dochód, że nie mógł już rano palić światła w swej norze i dlatego to wychodził z książką na promenadę; a obiady musiał jadać bardzo skromne, po pół marki, w jakiejś fiakerskiej restauracji, która go swoją drogą napełniała strachem, bo gentlemani, jadający w niej, byli często bardzo weseli, bili pięścią w stół i śmiali się stale z niego. Był wreszcie chory na serce.

Ratyński ofiarował mu koleżeńską pomoc w kwocie dwudziestu pięciu marek miesięcznie, radząc, żeby ze względu na zdrowie palił rano lampę w pokoju, a na obiady chodził z nim do lepszej restauracji; więc jadali odtąd razem, wyjąwszy niedziel, i przyzwyczaili się do siebie, bo łączyła ich nie tylko nauka, ale także fizyczna dzielność jednego, a słabość i nieporadność drugiego. Weissenborn nauczył się nawet wychodzić czasem na spacer, przyczem coraz śmielej kłusował po ulicach koło Ratyńskiego i coraz głośniej rozprawił, czując się bezpiecznym.

\* \* \*

W pierwszy piątek, po odbyciu pierwszego posiedzenia filozoficznego, udali się prawie wszyscy do knajpy. Zaczęto pić piwo i rozmawiać o nowych teoriach i książkach. Weissenborn pił najmniej, bo po jednym kuflu już mu się robiło ciemno przed oczami, ale zato najwięcej rozprawił, gestykulując chudymi palcami i putrzając w przestrzeń błędnymi oczyma.

Z okazji nowych prądów, zaznaczających się w psychologii, zesła rozmowa wnet na stanowisko Wundta w nauce, które według Weissenborna było wcale marne. I pokazało się w dalszym ciągu dysputy, że tego samego zdania byli Ratyński, Serb i Rosyanin Kryłow, chociaż naturalnie żaden nie zaprzeczał, że Wundt jest człowiekiem bardzo zasłużonym. Niemcy natomiast, którzy już i tak nie lubili Wissenborna, bo swoim skrajnym, rzeczywiście popędem oddaniem się nauce i wielką samodzielnością psuł im i mącił ich spokojne, cechowe traktowanie nauki, teraz kiedy się ośmielił z wielką bezwzględnością trząść naukową działalnością Wundta, w cieniu której oni bezpiecznie pracowali, poczęli się gwałtownie oburzać, a to wielkie oburzenie pozwalało im nie zniżać się aż do dowodów. Spór stawał się coraz zajadlejszy: Weissenborn wywijający już rękami ponad głową, z pianą w kątach ust, ujadał się z resztą Niemców, zalewając ich potokiem uczonych wywodów; a oni pytali go w bezsilnej złości, dlaczego chodzi na wykłady Wundta, po co tu przyjechał, dlaczego nie napisze lepszej książki niż »Physiologische Psychologie«. On, kiwając prędko głową, obiecywał, że napisze i spór rósł w nieskończoność. Ratyński i Rosyanin, którzy na początku dyskusji zaznaczyli krótko swe zdanie, nie mieszały się więcej, słuchając w milczeniu i uśmiechając się tylko czasem do siebie. Za to Serb, człowiek żywy i nie lubiący Niemców, dolewał oliwy do ognia rzucając co chwila uwagi, które podjudzały Weissenborna, i objawiał swe zadowolenie przypijając często do Ratyńskiego albo Kryłowa ze stereotypową, a niezrozumiałą dla Niemców formułką: »Majku mu niegowu! dziawo Szwaba! za wasze zdrowie gospon' doktore!« W końcu asystent, dla którego cały ten spór był szczególnie niemiły, stu-



knął kuflem w stół i wygłosił jakiś komunał, który wprawdzie kwestyi nie rozjaśnił, ale zrozumiano jego intencję i spór przycichł.

Humory kwaśniały, knajpa stawała się nudną. Na jednym końcu stołu zaczęto przeglądać stos książek, które przyniósł stary, dobrze wszystkim znany, domokrażca: książeczki Reclama i paczka broszur politycznych jak »die Polenfrage und die deutsche Ostmark«, »Caveant consules« itd. Richter wziął »die Polenfrage« i podał z uśmiechem Kryłowowi mówiąc: »Może pan kupi?«, ale ten, chociaż zwyczajnie człowiek bardzo łagodny, odparł ze złością: »Chybabym zwaryował, żeby kupować takie błazeństwa«. Richter skrzywił się i złożywszy usta w trąbkę rzekł, że właściwie ta broszura nie jest tak głupia, bo broni interesów narodu niemieckiego, i rozpoczęła się na dobre nowa kłótnia, nie prowadząca oczywiście także do żadnego rezultatu, bo Kryłow, typowy wyznawca ewangelii Tołstoja, opierał się na prawach człowieka, a Richter wychodził z zasady »Deutschland für Deutsche«. Objasniewszy bliżej tę zasadę, na mocy której w obrębie państwa niemieckiego powinni być tylko Niemcy, zrobił Richter mądrą i tajemniczą minę i mówił: »Proszę pana, my mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek wzmacniać wszelkimi sposobami swój żywioł niemiecki, bo napór Słowian wzrasta i może przyjść w przyszłości do zalania Zachodu i zachodniej kultury przez nich, czego prawdopodobnie i pan byś żałował«. Ratyński, który dotąd milczał, rozśmiał się, a zapytany przez Richtera, jak się może śmiać wobec tak złowrogiej perspektywy, rzekł: »A cóż? czy mam płakać? Po pierwsze, zanimby mogła nastąpić wędrówka Słowian na zachód, trzeba by albo żeby jeden naród, dajmy na to Rosya, zgniótl inne i narzucił im swą politykę. Jedno i drugie leży w wątpliwej przyszłości. Ale przypuśćmy, że rzeczywiście ruszają barbarzyńcy Słowianie, jak się pan tego obawiasz, z ogniem i żelazem, to nie o moją skórę by chodziło, tylko o waszą, włoską lub francuską, które mnie tyle obchodzą, co was nasze«. Richter, rozczzerwieniony wykrzyknął: »Jak pan możesz nawet żartem mówić coś podobnego, pan, zachodni uczone«. A Ratyński ciągle się uśmiechając odrzekł: »Przedewszystkiem jestem człowiekiem, a dopiero potem uczonym, więc nauka ma dla mnie wartość względną, nie absolutną. To jedno. A powtóre: pan nazywasz mnie zachodnim uczonym i przyznajesz, że posiadam zachodnią kulturę — grand merci; ale proszę pana takim samym jest pan Kryłow i mnóstwo innych u nas, nie mówiąc już o tem, że posiadamy także trochę własnej kultury, której wy nie macie. A zatem w fakcie zalania zachodu przez Słowian nie mogę widzieć zniszczenia kultury, tylko zniszczenie zachodnich narodów, co może być dla mnie rzeczą obojętną. Pan może powiesz: Ładna kultura, któraby pozwoliła wam spokojnie zgnieść wysoko cywilizowane narody ot tak bez racyi. To ja odpowiem: zupełnie tasama kultura, co wasza i taka sama racya, która wam każe, zabrawszy kawał polskiego kraju, robić zeń niemiecki. N'est-ce-pas?«

Koburger Hof wypróżniał się powoli, więc może dlatego, że gwar w salach cichł, dały się słyszeć teraz odgłosy zmieszanych pieśni widocznie jednego ze związków studenckich, mających osobne pokoje. Słuchano jednak ciekawie, bo zalatujące raz ciszej, raz głośniejsz melodye, nie przypominały w niczem niemieckich: Serbowi, Ratyńskiemu i Kryłowowi poczęły oczy się ożywiać, bo to były wycia słowiańskie. Kiedy zapytany kelner powiedział, że to Bułgarzy śpiewają w swym pokoju, postanowił Ratyński zajrzeć do nich, bo znał ich wszystkich: zamienił kilka słów z Rosyaninem i poszli. Serb został, bo nie mógł długo wytrzymać spokojnie z Bułgarami.

Otworzył drzwi od pokoju Bułgarów pociągnął Ratyński Kryłowa za rękaw i zatrzymali się chwilę, zakryci cieniem pieca, stojącego tuż przy drzwiach. Na ścianach w brudnej sali o barwach niemieckich wisały portrety dwóch Wilhelmów i Bismarcka; powietrze było przesycone dymem, wieszającym się na świetle gazowem, a wśród tego kilkanaście ciemnych, czerwonych od picia twarzy, przeważnie obojętnych lub posępnych. Bawili się. Kilku siedziało przy stole, reszta bezładnie na środku pokoju pochylając głowy, okryte lasem czarnych włosów. Nie śpiewali razem. Najbliżej pieca stojący Bułgar z Macedonii oparł głowę na rękach i śpiewał, a raczej jęczał niskim głosem pieśń o sierocie błądzącej po polu. Niedaleko niego siedział olbrzymi chłop z Tirnowy i śpiewał dziką, a przeraźliwie smutną pieśń powstańczą; pod koniec każdej zwrotki melodya sroga i żałosna podnosiła się coraz wyżej, olbrzymi chłop przechylał w tył głowę, zamykał oczy i z rozwartego gardła dobywało się jęklive, wysokie »c«. Inni także nucili półgłosem podobne pieśni. Wypili dużo, co znać było z ich twarzy, więc weselili się.

Ratyński trącił Rosyanina i rzekł: »Wiesz pan, co myślę? Te głowy i pieśni wyglądałyby dobrze we krwi i łunie Zachodu«.

*Madroń.*

JAN ARANY.

### WALLIJSZY BARDOWIE.

Edvard Király, angol király  
Leptet fakó lo va...

Siadł Ethward król, angielski król  
Na bułanego konia.  
— Chcę widzieć jak wśród moich pól  
Wallijskie kwitną błonia.

Czy jest tam rzeka, płodny grunt,  
Czy łąki trawą lśnią?  
Czy zrosił je zgnieciony bunt  
Spiskowców żyzną krwią?

I czy jak chcę, wallijski lud  
Szczęśliwy tak jest tam,  
Jak gnane w jarzmie stada trzód  
W cienie więziennych bram?

— Korony twojej, Panie, w krąg  
Djamentem Walii błoń —  
Tam szumi trawa bujnych łąk  
I rzeki srebrna toń...

A, Panie, lud — wallijski lud  
Szczęśliwy tak jak chcesz...  
Tam w chatach głód — i mrok — i chłód  
I cisza trupich rzesz!...

Siadł Ethward król, angielski król  
Na bułanego konia —  
Gdzie stanie — groby pośród pól  
I nieme wszędy błonia.

Był zamek Montgomery zwan,  
Król na noc zjechał tam —  
I zamku Montgomery pan  
Ugascza króla sam.

Ptactwa i ryb i dziczy huk,  
Co tylko radzi gust —



Niosą szeregi rączych sług  
Na czar dla oczu — ust!

Co jedno z trunków, z jadła, zbóż,  
Ten cudny rodzi kraj,  
Co wina ma z za sinych mórz  
Na stół królowi daj!

— Panowie szlachta — hejże — wy —  
Czy nikt nie trąca kruz?  
Na cześć mą któż, wallijskie psy,  
Podniesie kielich, któż?

Widzę tu jadła — trunku moc,  
Djabelstwo chytrych sztuk,  
Lecz w każdym z was piekielna noc  
I w każdym z was mój wróg.

Panowie szlachta — nędzne psy,  
Gdzież wiwat dla Ethwarda,  
Niechaj mi pieśń pochwalna brzmi,  
Sprowadzić mi tu barda!

W zdumieniu patrzy każdy gość,  
A w pulsach tętni krew,  
Na twarzach błyska blada złość  
I purpurowy gniew.

Zamiera dech, owłada strach,  
Na ustach milknie żart...  
Jak gołąb siwy naraz w drzwiach  
Jawi się stary bard.

— Ja, rzecze starzec, Panie mój,  
Wyśpiewam czyny twe,  
I rzęże ranny, chrzęści bój  
Kiedy strun liry tknę.

I rzęże ranny, chrzęści bój  
I rzeka lśni od krwie,  
Na trupy spada kruków rój:  
To, królu, czyny twe!

I cały lud, jak jeden trup —  
Czy słońce masz, czy mgłę,  
Wszędy potykasz się o grób —  
To, królu, czyny twe!

— Ha, precz z nim! Wieść mi go na stos,  
Rozkaże E'thward —  
Chcę słodkiej pieśni słyszeć głos. —  
I wyszedł młody bard!

— Słodko wieczorny szumi wiew,  
Na Milford schodzi cień...  
Zeń dziewic, wdów żałobny śpiew,  
Jęk skargi idzie zeń...

Niewiasto, dziątek już nie ródź,  
Lub rzuć je w głębię mórz...  
I skinął król — ha, na stos pójdź —  
I na stos idzie już!...

Lecz nie wzywany naraz wszedł  
Zuchwale — trzeci bard,  
Na kobzie pieśnią zagrzmi wnet  
W stalowych piersi hart!...

— Padł w boju rycerz, w kwiecie lat,  
Lecz słuchaj E'thward!

Któryby cześć twą śpiewał rad,  
Nie żyje taki bard!

Dotychczas lutnia płacze go,  
Lecz słuchaj E'thward,  
Przekleństwem wszystkie pieśni grzmia,  
Gdy śpiewa ci nasz bard!

— Ha dość! — I król jak srogi czart  
Okropny wzniesie głos:  
Gdzie tylko w Walii stanie bard,  
Prowadzić go na stos!

Czereda sług rozpierzchnęła się  
Po kraju, w ciemną dal,  
Tak owa ucztą zmierzchnęła się  
Śród krwi czerwonej fal...

Siadł Ethward król, angielski król,  
Na bułanego konia,  
Gdzie stanie — łuny pośród pól —  
I w zgliszczach Walii błonia.

Pięciuset bardów pieśnią grzmiąc  
Na stos się dało wieść,  
Żaden nie uląkł się, by drząc  
Śpiewać Ethwarda cześć!

— Ha, co za pieśń — ha, co za szmer,  
W Londynie — co za tłum,  
Wisieć mi będzie sam lord mer,  
Gdy mię przebudzi szum...

Cisza — nie bzyknie skrzydło much,  
Cisza, choć głowę strąć,  
Śmiercią jest słowo, śmiercią — ruch,  
Bo król nie może spać!

— Hej, niech mi bębny, rogi brzmią,  
Niech brzmią mi dźwięki trąb,  
Wallijska ucztą wspomnień krwią  
Mej duszy wstrząsa głąb...

Lecz głośniej brzmi nad bębnów grę,  
Nad trąby i nad róg,  
Pięciuset bardów pieśń co mknie  
W niebo, jak gromów huk!

Z węgierskiego przełożył

*A. Lange.*

PAWEŁ SZEERBART.

## KAPRYŚNE SŁOŃCE

psiomorska opowiadka.

Siedem opasłych psów morskich płynęło z kilkoma lodowemi górami z Grenlandyi na południe na łososie!

Psy morskie znalazły w istocie mnóstwo pięknych łososi, zjadały je raptownie aż do głów, głowy wrzucały napowrót w morze i tuczyły się z dnia na dzień próżnując i myśląc o tem i o owem.

Najgrubszy pies morski skonstatował pewnego dnia, że słońce zaczyna potężnie piec i położył się wobec tego na lodowej górze; inne psy morskie poszły za jego przykładem i wszystko próżniaczyły do cna.

Ale ponieważ słońce piekło co raz gorzej, pękały góry lodowe; słońce nienawidziło wysoko spiętrzone



lodowce — chociaż były piękniejsze od gór kamiennych.

Najgrubszy pies morski dziwił się temu i pytał:

»Moje kochaneczki, poco to słońce powiedzcie mi zadaje sobie tyle mokołu i roztapia ciągle nasze przepyszne góry lodowe? Przecież mimo to tam na Północy ciągle nowe rosną«.

Siedem psów leżało na grubych brzuchach i myślało o tem z natężeniem.

## POŚRÓD DZIKICH BESTYI

historia rozpaczna.

Dwoje poczciwych ludzi chodziło przez pusty park, w którym grasowały dzikie bestye.

Pewnego poranku złapał kaleopar jednego z dobrych ludzi za łydkę.



PORTRET TEODORA RYGIERA,  
twórcy Pomnika Adama Mickiewicza w Krakowie.

Ale psy morskie nie rozumiały tej całej historii wogóle — mimo straszego natężenia, z jakim kombinowały.

Żeby słońce łosose zjadało — no to rozumiały, owszem, dlaczego nie!

Ale góry lodowe niszczyć. Poco?

Czy przez to tyje?

Tak — tak — to jest coś niezrozumiałego... i to zostanie czemś niezrozumiałem.

A drugi dobry człowiek podniósł z ziemi kamień i zabił nim kaleopara. Kiedy to pierwszy zobaczył, oburzył się i zawołał ze wstrętem: »Morderco«!

Morderca uważał za taktowne, nic na to nie odpowiadać.

Niedługo potem, złapał pawian drugiego dobrego człowieka za łydkę zębami.

A ten chwycił odrazu za kij i zabił nim pawiana. Pierwszy dobry człowiek widział to, uśmiechnął się bardzo wytwornie i bardzo grzecznie powiedział: morderco!



Dobrzy ludzie stanęli cicho, popatrzyli na siebie ze zdziwieniem, spoważniali, a po chwili serdecznie uściskali swe dłonie.

Pierwszy myślał: W pustym parku, gdzie grasują dzikie bestye nie można zawsze być dobrym człowiekiem!

Masz rację... mówił drugi, a przykro mu było, że tak pogardliwie nazwał pierwszego: mordercą. Poczem jedli śniadanie w zgodzie i harmonii.

Poczem wyciągnęli karty z kieszeni i zaczęli partyę.

Poczem drugi dobry człowiek wykrzyknął tak trochę symboliczne: Oto! Mimo to jest kier trumfem, a nie pik!

Łagodny wiaterek przeszedł po parku, wysmukłe topole zaszeleściły.

Dzikie bestye nadsłuchiwały.

### PIECZONE GOŁĄBKI

malarska legenda.

Dwaj chłopci swarzyli się ze sobą całemi latami i to czasem na ostro oto, że nie doprowadzili do niczego.

Irytowało to obu chłopów i pewnego dnia zarzucali sobie w polu wzajemnie winę własnych nieszczęść.

Młody malarz nadszedł i podsłuchiwał obu.

»A do czegoż chcecie doprowadzić?« pytał z uśmiechem.

»Jabym chciał składać już coś do kasy oszczędności.«

»A jabym chciał wystawić sobie nową stajnię, a nie stać mnie na to.«

Malarz śmiał się, zawrócił dziwnie oczyma i mówił:

»Ja zaś chciałem przez moje obrazy stać się sławnym, chciałem nawet sprawić sobie nowy garnitur, o jeszcze więcej, chciałem sobie nowy dom kupić, bo nie mam żadnego i do tego z nową żoną się ożenić — ale mnie nie stać na to wszystko.«

»I mimo to masz taki bajeczny humor?« pytali chłopci.

Malarz patrzył wesoło i odpowiadał gestykując oryginalnie rękami:

»Cały świat jest moim domem, mój garnitur wprawdzie nie jest nieskazitelny, ale *j'ai meme fiche*. Kobiety zaś lubią się kłócić! Co mi po kobietach! A kto jest sławnym, tego inni nienawidzą. Znam ja coś lepszego? Widzicie tam w górze nad starą stodołą te pieczone gołąbki? He?

Ano gdzie? gdzie? pytali chłopci.

Wtedy malarz z patosem uroczystym: Otóż wy macie inne oczy niż ja. Powinniście mieć oczy malarza — wtedy byście wszędzie widzieli pieczone gołąbki, lecące do was, a to taki widok, że samo serce skacze, więcej wart niż sława i kobiety, więcej niż surdut i dom. — Znacie pieczone gołąbki! One rzeczywiście latają po niebie a czasem wlatują nawet w usta! Patrzcie tylko za gołąbkami pieczonymi. — A zobaczycie je z pewnością!«

I szczęśliwiec lewym palcem wskazującym pokazuje na modre niebo, obraca się na pięcie i pogwizdując wesoło schodzi gościńcem w cieniłą dolinę.

### LIST LWOWSKI.

Lwów, 27 VII.

(Ostatnie utwory dwóch powieściopisarzy lwowskich).

Mam przed sobą dwa tomy wytwornie wydane; jeden u Grendyszyńskiego nosi tytuł: «O tron. Powieść historyczna z XVII. wieku», przez Adama Krechowieckiego, drugi

u Gebethnera: «Doborowe otoczenie», powieść Kazimierza Rojana. Mimo nieskończenie wielkiej różnicy, jaka zachodzi między tematami, a przedewszystkiem talentami obu pisarzy (nazwisko «Rojan» obok słowa: talent, staje się wprost negacją), mimo faktu, że żadna z powieści nie jest osnuta na tle stosunków tutejszych, jest przecie między nimi jedna nić łączna, pewna wspólność psychologiczna, pozwalająca zaliczać je do jednej rodziny: lwowskiej. Jasne i ciemne plamy talentu p. Krechowieckiego, szarzyzna umysłowa p. Rojana, są pod wielu względami ścisłym odbiciem gruntu lokalnego, na którym dojrzały i działają, a to, co im jest wspólne, należy z pewnością policzyć na karb nastroju miasta i intelektualnego milieu, od którego są zależni. Jak Sienkiewicz odbija doskonale kulturę europejską Polski, Prus — głab ducha obywatelskiego Warszawy, Orzeszkowa — idee i tęsknoty z nad Niemna — tak odbijają pp. Krechowiecki i Rojan całą mizeryą ducha, nazwaną Lwowem.

Posuett napisał książkę o zależności form literackich od panującego ustroju społecznego. Na naszych autorach można to doskonale demonstrować. Miasto takie, jak Lwów, które nie ma tradycyj literackich ni jednolitej klasy inteligencji na poziomie współczesnej Europy, w którym stosunki małomieszczańskie pasują się z oschłością i biedą biurokratów, a jedyną prawie sferę czytelników stanowią kobiety, wychowane jak na partykularzu, i niedojrzała młodzież, miasto takie jaką może tworzyć, jaką konsumować literaturę? Ta musi odpowiadać charakterowi otoczenia. Więc nie będzie zbyt głęboka — za mało tu dla niej powagi myślenia — ani zbyt artystyczna — za mało tu wytworności smaku, ni też broń Boże radykalną — zanadto panuje brak wyrobionych pojęć i hypokryzja; w tych warunkach króluje przedewszystkiem fabuła ciekawa, intrygująca, inny trochę rodzaj plotki, naprężająca jałową fantazyę, nie — serce; dla serca przeznacza się frazes tani, komunał, byle szumny, byle bombastyczny, byle swojski, nie zmuszający umysłu do dalekich poszukiwań; dla umysłu przeznacza się — morał, prosty, jak przykazanie bakałarza z normalki, nowy, jak tablice Mojżesza, i tak jak one — prawdziwy a rzadko stosowany. Jestto typowa literatura małomieszczańska i filisterska.

Powieści współczesne p. Krechowieckiego posiadają wszystkie warunki wspomnianej literatury; dodają od razu: w gatunku bardzo dobrym. Mają zawsze fabułę sensacyjną, chętnie traktują temat jakiś z życia, autentyczny («Kres» np. jest osnuty na tle znanej sprawy dra Medweja), utrzymują ciekawość swoich czytelników w naprężeniu do końca. Na dnie kryją zawsze morał bardzo piękny, a przeważnie tak świeży i głęboki, jak ów, który jest zawarty w ostatniej dwutomowej powieści («R d z a»): «Każdy niemal człowiek ma jakąś rdz; w sobie, mają ją całe warstwy społeczne... w społeczeństwie przeciwdziałają jej: oświata, ustawy mądre; człowiek ma na nią jedno tylko lekarstwo... Jest niem: «sumienna i uczeiwa praca»... Technika ich musi być daleką od finezyj i kunsztu, charaktery grubo ciosane, powleczone szarzyzną, albo czarne — jak postacie kryminalne, bo tylko pierwsze mają u publiczności stempel «prawdy», a tylko drugie działają na fantazyę.

Znamiona te wszystkie — mutatis mutandis — znajdują się także w powieściach historycznych p. Krechowieckiego, a najwyraźniej występują w ostatniej. Zapowiada ona cały cykl, którego myśl przewodnia dotąd nie jest wyraźną. Autor pierwszą częścią okazał śmiałość nielada: pokusił się o odтворzenie czasu, a poniekąd i ludzi, których znamy dobrze z «Potopu» Sienkiewicza. Gdy «Potop» zajmuje się głównie wojną polsko-szwedzką i obrazuje po mistrzowsku psychologię epoki, mamy u p. Krechowieckiego kalejdoskop, wzbogacony osobą elektora, charakter czasu wcale niepogłębiony, natomiast — ogromny aparat intryg romansowych, obliczonych na efekt bardzo przestarzały. Więc *raptus puellae* przez jednego awanturnika, zbezczeszczenie drugiej dziewicy przez Bogusława Radziwiłła, a wszystko to ogromnie pachnie nieboszczykiem Eug. Sueim. Nie uniknął autor nietylko wprowa-



dzenia postaci przez Sienkiewicza zużytkowanych, ale także — scen historycznych i... pomysłów jego artystycznych, przyczem nie potrzeba nadmieniać, że autorowi «Potopu» ani w plastyce obrazów, ani w kolorycie dziejowym nie zdołał sprostać. Zostaje tylko zdziwienie, że pisarz tak zręczny, jak p. Krechowiecki, puścił się na eksperyment tak niebezpieczny, co do którego już z góry mógł być pewnym przegranej.

Przy tem wszystkim powieść p. Krechowieckiego nie jest pozbawiona pewnych zalet. Są tam usiłowania postawienia charakterów, nieraz wcale udane; do ich rzędu należy przedewszystkiem «wielki elektor» Fryderyk Wilhelm Brandenburski, następnie Szekspirowska figura Attelmayera, konsularnego syna ze Lwowa, który rozpiwszy się i zeszedłszy do szeregu wyrzutków, nie stracił oryginalnego dowcipu i junaetwa. Najwięcej budzi w nas zainteresowania Kazimierz Łyszczyński. Jeżeli się nie mylimy, zamysła autor przedstawić postać słynnego heretyka, spalonego na stosie za Sobieskiego. Byłoby to wprowadzeniem do powieściopisarstwa historycznego zwrotu, którego brak daje się uczuwać nawet u Sienkiewicza: zwrotu walk pojęć religijnych. Pole nowe, bardzo wdzięczne...

Pismo specjalnie literaturze poświęcone, musi do wszystkich utworów przykładać miarę wyższych wymagań w każdym kierunku. Musi to czynić każdy zresztą miłośnik już nietyłe piśmiennictwa, ile prawdy, słysząc trąby pochwał i okrzyki zachwyty, jakie się rozległy ze szpalt znanego ringu dzienników po pojawieniu się ostatniej powieści redaktora «Gazety lwowskiej». Do Panteonu ona nie wejdzie — to pewna. Ale poza potrzebą wzbogacenia świątyni sztuki — istnieje jeszcze druga i niemniej ważna: dostarczania codziennej strawy głodnej rzeszy czytelników gazetarskich. Dla niej, dla Lwowian, pojętych jako gatunek, jest p. Krechowiecki fejttonistą bardzo dobrym. Rozciekawia — bawi — poucza; tem lepszy — że rozciekawia i poucza na punkcie dziejów narodu.

Natomiast nie wiem, czy najwyższa jakaś nagroda konkursowa mogłaby przynieść odpowiedź na pytanie: na co się drukuje podobne «powieści», jak «Doborowe otoczenie» Rojana. To owoc *milieu* lwowskiego, wspaniała, rumiany, pełny — jak wrzód dojrzały. Nie chcę go rozcinać na tem miejscu — przyjemności to nie sprawi. Książka ta wyszła u Gebethnera; nie wiem, czemu nie wyszła u Feitzingera w Cieszynie. Posłuchajcie. Pewien baron polski, który spekulacyami giełdowymi i «majątek zdobył godziwymi sposobami» (!), stary zresztą, zniszczony, żeni się z biedną sierotą, panną Ewelina, która była panną «zupełnie rozwiniętą umysłowo, a co za tem idzie: na świat przestała patrzeć różowo; w dodatku charakter jej nie należał do tuzinkowych»... To założenie powieści, tak świeże i oryginalne, jak oryginalną jest naiwność autora, przygotowuje nas do katastrof straszliwych, tem bardziej skomplikowanych, że baronowa ma młodszą siostrzyczkę, rozkosznego podlotka, Zosię. Następuje «węzeł dramatyczny». Baronowa wydzwignięta z biedy chce uszczęśliwić ludzi i wyprasza sobie u męża, aby sama mogła dobrać oficyalistów, a właściwie dwór, z którym spędzi pewien czas na świeżo zakupionych dobrach galicyjskich. I wybiera — kolekcję idyotów, oszustów i intrygantów, jakich z świecą należałoby szukać. Przyjmuje rządce, który nie ma najmniejszego wyobrażenia o gospodarstwie, ogrodnika, który zgoła nie zna się na ogrodnictwie, bibliotekarza, który jest skończonym kryminalistą itd. Baronowa «zupełnie rozwinięta umysłowo» i mąż jej, stary znawca ludzi i aferzysta, spędzają w tem towarzystwie dużo czasu, bawią się, stołują razem — i nie mogą poznać się na ich wartości. Baronostwo, pochodzące ze sfer wiedeńskich, wysoce wykwintnych, znających — jeżeli nie literaturę, to z pewnością: modne kierunki i wyrafinowanych autorów i artystów, rozkoszują się idyotycznymi wierszami bibliotekarza i zachwycają ordynarną błagą i bazgraniną rysunkową rządce, będącego rodzajem Zołzikiewicza, tylko jeszcze głupszym. Nareszcie doborowe to otoczenie daje ujście zbrodnicy swym chuciom. Rządca wikła w intrygę

miłosną zarówno baronową, jak i jej siostrę; korzysta z tego bibliotekarz (czarny charakter) i wymusza na baronie 20000 zł. Baronowa nagle uleczona, chce wyzdrowić też siostrę, przyjmuje więc rządce na schadzce, aby małą przekonać, że jej ideał jest uwodzicielem. Wszystko się kończy rozpędzeniem «doborowego otoczenia» na cztery wiatry; baronowa wraca w miłosne ramiona prawowitego męża, Zosia znajduje rekompensatę w enotliwym Henryku...

To jest treść, przeplatana od czasu do czasu filozoficznymi sentencyjami, w rodzaju tej, że «miłość różnemi chodzą drogami» (str. 24), albo morałami pośrednio wypowiedzianymi, np. wzmianką, że idyotyczni łotrzykowie tego doborowego otoczenia składają się ze zwolenników Darwina, socjalizmu, wolnej miłości. Intryga zaś jest przeprowadzona tak niedoładnie, że już nie oburzenie, ale politowanie bierze.

Z tem wszystkim jest p. Rojan doskonałym wyrazem pewnych sfer, chodzącym dokumentem czasu i otoczenia. Oto, co o nim pisze w swych sylwetkach («Nieśmiertelni!») p. Choloniewski: «Na targu literackim posiada dość dobrą markę i należy do nielicznych młodych literatów, którzy mają stosunkowo znaczne dochody z pióra. Talent jego przetopiony na kapitał przedstawiałby w tej chwili wartość 25.000 zł., oprocentowanych po cztery od sta, przynosi mu bowiem rocznie około 1200 zł.»...

I ktoś śmiałyby twierdzić, że sztuka i piśmiennictwo u nas nie kwitną...

△

## Z WIEDNIA.

Dnia 27. VII.

Konkurs piękności! naturalnie — kobiecej, odbywa się co roku i zawsze tak samo na Kahlenbergu, na tym samym Kahlenbergu, gdzie przed dwustu laty... Wiedeńczycy zapomnieli jednak — *ut figura docet* — co było przed dwustu laty i lepiej się trzymać tematu kobiecego konkursu.

Słyszałem dziś, w dniu festynu — jest zawsze na św. Annę — naiwne pytanie: dlaczego odbywają się takie konkursy? A odpowiedź brzmiała dosłownie: W celu — podniesienia kobiecej piękności. Tak jakby kto powiedział: w celu podniesienia przemysłu krawieckiego. Jestem nieśmiały człowiek, więc nie zaczepiłem owego pana i nie spytałem go o bliższe szczegóły tego «podniesienia». — Ale przypomniał mi się artykuł, czytamy raz w «Gil Blas'ie», gdzie jakiś pan X. Y. fejttonował dość zręcznie na tej klawiaturze.

Marzył on w owym fejttonie o zajęciu jedynie godnem tej nadziemskiej istoty, jaką jest kobieta — o zajęciu się sobą. Bądź piękna! — kończył — zajmuj się pięknnością twego ciała!...

Niezły sobie ten fejttonista z Gil Blas'a! Zajmuj się pięknnością twego ciała! Mniej więcej tak, jak brzmi anons na «Poudre ravissant» albo na «Kalodont»... Jakby to piękna kobieta zajmowała się czem innym od stworzenia świata!

Pominąwszy zupełnie, że ów pan nie idzie wcale z tak zwanym «duchem czasu» — bo dziś mówi się przeciw inaczey, np. «Bądź mądrą! — zajmuj się wyższą matematyką — bądź członkiem związku «Wolna kobieta» albo «Męskie ubranie»! Otóż, pominąwszy to wszystko...

Po cóż zresztą się sprzeczać? Całą właściwością kobiety jest przeciw to, że najmądrzejsza o niej książka, nie jest tak pouczająca, jak jeden jej żywy egzemplarz.

A co się tyczy kobiet nagrodzonych na Kahlenbergu, to, jak wskazuje statystyka dziesięciu lat ostatnich, wszystkie — poszły za mąż. *Mein Liebchen, was willst du noch mehr?* Czyż to nie rozwiązanie pytania: dlaczego są takie konkursy? Dodając w nawiasie — jest to rozwiązanie bardzo moralne, bo mogłoby — *honny soit qui mal y pense* — daleko być gorsze.

Chwałą sobie ludzie stanowisko «wyborcy» na takim konkursie. Niema być nic wdzięczniejszego na świecie! Przyjdzie np. do ciebie blondynka i powie: jak mi dasz swój głos,



dostaniesz całusa. Obiecuje się więc głos i bierze — *anticipando* — nagrodę. Po chwili przychodzi brunetka z tą samą propozycją — i obiecuje się znowu za słodką zapłatę. Trzeba w takich razach zapomnieć całkiem, że się ma tylko jeden głos! Mój Boże! któżby na to uważał, i czyż nie robi się mniej więcej tak samo na innych, mniej wdzięcznych wyborach!...

Była myśl jedna, która mi odbierała zawsze ochotę od tego na pozór tak ponętnego zysku. A była to myśl, że jeżeli kandydatka nagradza w ten sposób tysiąc sprzymierzeńców — tysięczny pierwszy nie znajdzie już wiele miodu na jej uroczych ustach!...

Nie trzeba być jednak pesymistą — i jeżeli bliźni okłamuje nas niezręcznie — to trzeba się tem zręcznie okłamywać samemu. Trzeba sobie wmówić miód wszędzie: w życiu, w jednodniowej miłości, w sztuce, w literaturze, we wszystkim!...

Nawet wtedy, jeżeli się musi być w lipcu w Wiedniu. Tem bardziej wtedy. Nie sztuka mieć rajskie uczucia, kiedy się człowiek przechadza nad Gangesem — ale sztuka mieć te uczucia, przechadzając się na Favoriten!...

Żeby oszczędzić »przypisku od redakcji« powiem zaraz sam, że *Favoriten*, to »dzielnica wiedeńska zamieszkała przez klasę roboczą«. — Od siebie dodam jeszcze, że chodzę tam chętnie na spacer, odkąd się dowiedziałem, że nie ma nigdzie takiej hołoty jak na *Favoriten* — i to tylko dlatego, że spodziewam się zastać tam *haute saison*, której nie ma na Ringstrasse w lipcu.

Robiąc takie studia doznaje się jednak czasem niemiłego uczucia — jeżeli się jest przyzwyczajonym do Ringstrasse. Całe ludzkie nieszczęście, to owo *zwei Seelen wohnen auch in meiner Brust!* Co do mnie, to darowałbym jedną duszę, żeby nie mieć drugiej. Jestem przekonany, że zato ciało ubraneby było w najpiękniejszy garnitur angielski, na każdym palcu miałoby pierścień brylantowy, na nogach lśniące lakierki — i jadło zawsze tylko w najlepszej restauracji — czy to u Sachera w mieście, czy też w *Petit Trianon* w Wenedig!...

Wiedeń jest w stanie dekadencji — Wiedeń upada, bo w *Petit Trianon* jest napis: Obiad za fl! *Fi donc!* Jakżeż to nieszykowne! Jak to trąci biednymi ludźmi! Wobec tego — nie wiem na prawdę, czy można jeszcze chodzić do Trianon?...

Bez żartu, że prawie posmutniałem, czytając ten napis. Znaczący on tyle co: nie bójcie się ludzie, śmiało — bułka nie kosztuje u nas guldena — nieprawda, wszystko nieprawda — nie bójcie się ludzie!... Czyż to nie dowód, że we Wiedniu — coraz mniej bogatych czyli porządnych ludzi? Czyż to nie dowód, że coraz więcej w tem kwitnącem mieście hołyszów?...

Człowiek to, dziwne stworzenie. Jeszcze przed kilkoma tygodniami krytykowałem na tem miejscu *toute Vienne* a teraz kiedy niema tego skarbu — otrujęm się z rozpaczy. Nieraz kiedy siedzę na Wystawie ogarnia mię naraz uczucie stra-

sznej samotności, uciekam czempredzej — a ręce konie tramwajowe — ciągną mię znowu do miasta. — Uspokajam się dopiero wtedy, kiedy zabłysną z daleka pierwsze światełka kawiarni Pachera. — Ale cóż znaczy Pacher bez naszych posłów?... Czyż wróca oni — czyż wróca?

Tomasz Bruska.

BJÖRNSTERNE-BJÖRNSSON.

## PONAD SIŁY

dramat w dwóch aktach.

(Ciąg dalszy).

### SCENA II.

**Sang.** Dzień dobry po raz drugi! — Dzień dobry, droga Anno! Jak to dobrze, że tu jesteś. Ach jak to dobrze, że tu jesteś. — Już tam takich poranków, tak pachnącego i rozśpiewanego powietrza nie ma nawet w waszej Ameryce. Ani nigdzie na całym świecie!

**Klara.** A moje kwiaty?

**Sang.** Wiesz, Klarcu, co mi się dzisiaj przytrafiło?

**Klara.** Daleś je komuś!

**Sang.** Ach nie! Haha! — Tym razem nie, jak mawiał nasz Tordenskjold. Słuchaj, moja mała złośnico! Tyleśmy nawymyślali i nawyrzekali na to straszliwe nieustanne deszczyśko, tyleśmy się nastrachali, że się góra obsunie, że przyjdą lawiny, Bóg wie nie co, — a tymczasem co za piękności, co za wspaniałości powstały z ziemi po deszczu! Kiedym dziś wreszcie ujrzał słońce i wyszedł w pole — ach co za przepych co za zalew kwiatów! Jeszczem nigdy nic podobnego nie widział! Wszedłem w tę gąszcz farb i zapachów — i nagle opadło mię dziwne uczucie; zdawało mi się, że to wprost zbrodnia iść dalej i deptać po ziołach, które stały wokół i tyle mi dawały radości! Zeszedłem w bok, natrafiłem na ścieżkę i stąd patrzyłem w ich zwilżone oczy. Co za mnóstwo tego, co za tłum! A w tym tłumie co za popęd samozachowawczy! Co za pragnienie życia! Nawet najmniejsze z nich siły się aby wyciągnąć szyję do słońca, nawet i one. Tak otwarcie; z taką szybkością! Doprawdy; niektóre z nich tak się pospieszyły, że zanim noc zapadnie, to te szelmy już rozeszły z wiatrem swój pył kwiatowy po łące. Nawet kilka trzmieli uwijało się w powietrzu jakby upitych tymi strumieniami wonności! Tysiące pachnących kwiatów tu, tysiące tam, tysiące tysięcy gdzie okiem rzucić. Czy w tych miliardach istnień niema również indywidualności — przyszło mi nagle do głowy. Ach niezawodnie! No i nie mogłem tego przemódz na sobie, aby





zerwać choć jeden z tych kwiatów. Ale za to przyniosłem ci coś innego.

**Klara** (która w czasie jego słów dawała znaki swej siostrze).  
Cóż takiego?

**Sang.** I ja spróbuję dzisiaj zwrócić twarz do słońca.

**Klara.** Co chcesz przez to powiedzieć mój drogi?

**Sang.** Nie masz mię wprawdzie za tak złego, abym mógł coś ukryć przed tobą — a jednak widzisz, że tak jest!

**Klara.** Spozstrzegłam to nie od dzisiaj, że coś, coś —

**Sang.** Co? rzeczywiście spostrzegłaś? Bo tym razem to naprawdę zamiliżalem całą sprawę przed tobą. Ale, widzisz, że nie zająłem się dotąd twoją chorobą tak, jak należy, to miało swoje przyczyny.

**Klara.** Cóż takiego?

**Anna.** Cóż to mogło być? Jak ją to poruszyło!

**Sang.** Zaraz wam powiem. — Przyszedłem z pomocą tylu ludziom, a jednak nie mogłem jej pomódz, bo nie umiałem dosyć zgodnie, dość gorąco modlić się z nią razem! Ona mi się sprzeciwia! A ja staję się bezsilny, jeżeli chory nie modli się wraz ze mną — oczywiście gdy może się modlić. Dlatego napisałem do dzieci aby przybyły; i wczoraj wieczór, kiedym je odprowadził na górę, powiedziałem im, dlaczego po nich pisałem. Niech się wpierv dobrze wyspią, a potem pomogą mi modlić się u łóżka matki!

**Klara.** Jakiś ty dobry! Jaki dobry!

**Sang.** Opleciemy cię łańcuchem naszych modłów. Jeden u nóg, drugi u węgłowia a ja tuż przy tobie. I ustaniemy nie prędeż, aż nie zapadniesz w sen. Nie prędeż, tak jest. Nie prędeż! A potem znów ponowimy nasze modły, aż powstaniesz i znów chodzić będziesz między nami. Tak, tego chcemy, tego dokażemy!

**Klara.** Jakiś ty dobry!

**Anna.** I cóż dzieci na to?

**Sang.** Trzeba ci było je widzieć! Były tam całe przejęte. Zbladły jak ta ściana i patrzyły jedno na drugie.

— Zrozumiałem je: chciały być same.

— Widzę, że to i ciebie wzruszyło. Przymykasz oczy. Może i ty chcesz, by cię samą zostawić. O tak, będziemy mieli gościa, wielkiego gościa. Trzeba się przygotować! — Która godzina?

**Anna.** Po siódmej.

**Sang.** To być nie może; one by tu już były w takim razie. — Zapomniałaś zapewne uregulować zegarek według tutejszego czasu.

**Anna.** Owszem zregulowałam go dobrze.

**Sang.** Toś go niedobrze zregulowała, moja droga. Dorosłe dzieci, mają się modlić u łóżka swej matki i miałyby zaspać! Czy możesz coś podobnego przypuścić?

**Anna.** Wyjdę zobaczyć.

**Sang.** Nie, nie! Nie można im zabierać tych ostatnich chwil. Muszą je mieć dla siebie — ja to wiem.

**Anna.** Nie usłyszą, że jestem. Tylko popatrzę. (Odchodzi).

**Sang.** Ale pocichutku!

## SCENA III.

**Sang.** Jak to dobrze, że ona taka uczynna.

**Klara.** Ty dobry!

**Sang.** Coś bolesnego przebija w jej głosie.

— Oh! Tylko teraz nie trać nadziei! Powiadam ci, nigdy nie czułem się pewniejszym swego, jak dzisiaj. A ty wiesz dobrze, kto we mnie wzbudził to poczucie.

— Klara! — Moja ukochana Klara! (Kłęka u jej łóżka).

— Zanim złączymy się we wspólnej wielkiej modlitwie, pozwól, abym ci wyraził mą wdzięczność. Dziękowałem dzisiaj Bogu, że dał mi ciebie; Tam, w tej uroczyści wiosennej. Jakaś nieskończona radość była wokoło mnie i we mnie. Stanęła mi przed oczyma cała nasza przeszłość, którą przeżyliśmy razem. Wiesz co, — zdaje mi się, że kocham cię tem więcej dlatego właśnie że nie ze wszystkim wierzysz tak jak ja; — gdyż wskutek tego właśnie mam

cię ciągle, bez przerwy, na myśli. Twoje oddanie się mnie wypływa zupełnie z twej istoty, z twej natury, z twej woli a nie z czego innego. A żeś umiała przytem zachować całą swą szczerłość i prawdę wewnętrzną — z tego jestem dumny.

Ale kiedy pomyślę, żeś ty — bez takiej wiary jak moja — całe swoje życie poświęciła dla mnie —

**Klara.** Adolfie!

**Sang.** O nie mów, proszę cię. — Teraz mnie mówić wypada. — Ach to coś uczyniła, jakież to wielkie. My inni, my dajemy naszą wiarę, ale ty oddałaś własne życie! Jak wielkiem musi być twoje zaufanie do mnie! Jak ja cię kocham, jak ja cię bardzo kocham!

Za każdym razem, kiedyś się lękała mojego oddania się dla służby bożej, albo kiedyś dbała o przyszłość naszych dzieci i nawet ani nie brałaś tego pod rozwagę, co czynisz — to ja wiem, brakło ci już sił do wytrwania.

**Klara.** Tak, brakło mi sił.

**Sang.** Moja w tem wina. Nie umiałem cię oszczędzać.

**Klara.** Adolfie!

**Sang.** O, wiem ja dobrze, co mówię.

Poświęcałaś się niejako po kawałku. I to nie z wiary, nie w nadziei nagrody tu albo tam: — nie, jedynie tylko z miłości. O, jak ja cię kocham!

Dziś właśnie chciałem ci to wszystko powiedzieć. Gdyby Anna nie była wyszła, byłbym ją prosił, aby mię na chwilę zostawiła z tobą sam na sam.

Dzięki ci! Dziś twój wielki dzień. Zaraz nadejdą dzieci.

— O pozwól, niech cię pocałuję, jak w pierwszym naszym dniu.

## SCENA IV.

**Sang.** No cóż?

**Anna.** Po siódmej.

**Klara.** Wiedziałam o tem.

**Sang.** Rzeczywiście? — A dzieci?

**Anna.** Spały!

**Sang.** Spały?

**Klara.** Wiedziałam.

**Anna.** Eliasz leży w ubraniu. Położył się na łóżku tak jak jak był, zapewne aby nie zasnąć, tylko wypocząć; jednakowoż zasnął. Rachel spała z rękoma złożonymi pod koldrą. Nic nie słyszała.

**Sang.** Za wiele od nich wymagałem.

**Anna.** Przecież one nie spały blisko dwadzieścia cztery godzin, to jest od czasu, jak się z niemi spotkałam.

**Sang.** Ale czego chciał Bóg, że mi dał właśnie dzisiaj taką siłę i taką pewność w duszy?

— (Odchodząc). Darujcie moje drogie — na chwilę. —

Dlaczego dziś właśnie....

## SCENA V.

**Klara.** Zbudziłaś je?

**Anna.** Naturalnie. — Wiesz, co w tem jest — jak myślę!...

**Klara.** Boże — tak! — I ja się o to lękam.

**Anna.** Ale co teraz począć?

**Klara.** To darmo! Musiałabym ja sama to jakoś załagodzić. — Ach — już wczoraj dostrzegłam w ich oczach coś dziwnego. Teraz pojmuję.

**Anna.** Już nie mają wiary swego ojca.

**Klara.** Już nie mają wiary swego ojca. — Jak one musiały walczyć ze sobą, ile się nacierpieć — biedactwa! One, co kochają swego ojca i czczą go ponad wszystko w świecie!

**Anna.** Dlatego to siedziały wczoraj tak cicho.

**Klara.** I przejmowały się byle czem! Z tego powodu Rachel pisała po ciebie! Sama tu została nie miała odwagi.

**Anna.** Masz rację. Jak one z tem musiały walczyć — nieprawdaż?

**Klara.** Biedne moje dzieci!

**Anna.** Eliasz idzie.



**Klara.** Jest tutaj?

**Eliasz** (*rzucił się na kolana przy łóżku matki, zakrywając oczy rękoma*). Ach mammo!

**Klara.** Tak, tak! — Wiem wszystko!

**Eliasz.** Wiesz wszystko? Nie gorszego stać się nie mogło.

**Klara.** Nic gorszego.

**Eliasz.** Kiedy nam mówił wczoraj wieczór, że dzisiaj o siódmej godzinie —

**Klara.** Zamilecz! Nie przeniosłabym tego.

**Eliasz.** Nie; nie! — Wiedziałem, że to przyjdzie; że to przyjsć musi. Jakże to — w taki sposób, to w inny, to musiało w końcu przyjsć.

**Anna.** Czy możesz słuchać o tem?

**Klara.** Muszę! — Powiedz mi —

**Anna.** Co?

**Klara.** Eliasz — czy ty tu jesteś?

**Eliasz.** Jestem, mammo.

**Klaru.** A Rachela?

**Eliasz.** Właśnie co dopiero wstała. Czuwała ze mną do północy. Ale dłużej już nie mogła wytrzymać.

**Klara.** Jakże to — dzieci moje — ach, jakże to — do tego przyszło, że —

**Eliasz.** Żeśmy utracili wiarę naszego ojca?

**Klara.** — Żeście utracili wiarę waszego ojca — moje dzieci?

#### SCENA VI.

**Sang.** Utracili — wiarę? Synu mój? — Coś powiedział! Wiarę?

**Anna.** Klara, Klareciu — co tobie?

**Sang** (*podbiega ku niej i kładzie na niej ręce*). Już mija. — Nie przyszło — Bogu niech będą dzięki!

**Klara.** Prze...chodzi: — — Ale bądź przy mnie! Ty bądź przy mnie.

**Sang.** Jestem przy tobie.

**Klara.** I nie dopuść, abym zaczęła płakać! Ah! —

**Sang.** O nie! tylko nie płakać! (*Pochyliła się nad nią i całuje ją*). Bądź silną! — Klaro! — — Tak, o tak! Nie smuć się. Wspomnij na to, jak smutni są teraz oni! Chcieli nam oszczędzić swego bólu, swej męki. Czyż i my nie powinniśmy ich oszczędzać?

**Klara.** Tak.

**Sang.** A gdzie Rachel?

**Anna.** Wkrótce nadejdzie. Czuwała z Eliaszem do północy.

**Sang.** Kochane dzieci! — — Jak wy mogliście? — Nie, nie! nie chcę wiedzieć! — Byłeś zawsze prawy. Jeśliś dopuścił do tego — to widocznie musiałeś.

**Eliasz.** Musiałem. Ale to było straszne.

**Sang.** Przy mnie odzyskasz ją łatwo. Jestem tylko człowiekiem uczuciowym. Ale może to właśnie początek nowej wiary, która nie może być nigdy więcej utraconą.

**Eliasz.** Wydaję się sam sobie zbrodniarzem, mój ojciec — a przecież nim nie jestem.

**Sang.** Czy sądzisz, mój synu, że wątpię w to choćby na chwilę! Nie sądź po tem, że nie umiem być powściągliwym. To pochodzi stąd, że byłem tak pewny swej wiary i że na niej tyle zakładałem. Teraz sam będę potrzebował pewnego czasu, aż — — Nie, nie! Przebacz mi, synu. Tyś temu przecież nie nie winien!

**Rachela** (*wchodzi, ale cofa się lekko kilka kroków w głąb pokoju. Sang spostrzega ją*).

Rachelo! Ach, moja Rachel! (*Ona podchodzi i pada na kolana*). Kiedyś jeszcze była całkiem mała, już się uczyła więcej wierzyć mnie, twemu ojcu, niż wszystkim książkom — Jakże więc to się stać mogło? Muszę wiedzieć; jak do tego przyszło. — Bo że ktoś mógł cię oderwać odemnie —

**Rachela.** Nie od ciebie ojciec!

**Sang.** Daruj! Nie chciałem cię dotknąć. —

Chodź do mnie. (*Rachela rzuciła mu się w ramiona*). Przyrzekam wam, moje dzieci, że odtąd ani słówkiem o tem nie wspomnę. — Ale w pierw chciałem jednak wiedzieć, co was dziwić nie powinno — jak się to właściwie odbyło?

**Eliasz.** Gdybyśmy o tem mówili całymi dniami mój ojciec, — jeszczebym tego wypowiedzieć nie zdołał.

**Sang.** Nie; do tego sam się nie nadaję. Nie umiem rozprawiać o wierze. Nie rozumiem się na tem zupełnie.

**Eliasz.** Posłuchaj mię jednak!

**Sang.** Chyba, że sprawi ci to ulgę, mój synu. Ale czy nie umiałbyś mi powiedzieć krótko i węzłowato — w kilku słowach? — Co was do tego doprowadziło, co was, moje dzieci, co was skłoniło do tego?

**Eliasz.** Powiem w kilku słowach. Rachela i ja przekonał się, że niema chrześcian takich, o jakich nas pouczales.

**Sang.** Ależ, dzieci! —

**Eliasz.** Posłałeś nas do najlepszych, jakich znałeś. Niezawodnie byli to najlepsi. Ale Rachela i ja wkrótce innego nabraliśmy przekonania, a Rachela wypowiedziała je pierwsza: — Jest tylko jeden prawdziwy chrześcianin a tym jest — nasz ojciec.

**Sang.** Cóż znowu — moje dzieci!

**Eliasz.** Gdyby inni byli przynajmniej choć w części do ciebie, ojciec, podobni — to z pewnością nie czulibyśmy się rozczarowani: Ale to ludzie całkiem inni, — nawskróś różni.

**Sang.** Co chcesz przez to powiedzieć?

**Eliasz.** Ich chrześcianstwo to zwykła umowa, kompromis. W życiu i nauce, w teorii i w praktyce poddają się istniejącemu stanowi rzeczy — to znaczy temu, co istnieje u nich i w ich czasie: instytucjom, przesądom, zwyczajom i stosunkom ekonomicznym tudzież wszelkim innym.

**Sang.** Czy nie za ostry to sąd?

**Eliasz.** Ty szukasz w tem wszystkim pierwiastku idealnego i dajesz mu się powodować. W tem tkwi różnica.

**Sang.** Ale cóż w a s może obchodzić ta różnica, moje dzieci.

**Eliasz.** Dała nam wiele do myślenia, ojciec. — Czyż może cię to dziwić?

**Sang.** Myślcie, ile chcecie, tylko nie sądzcie nikogo.

**Rachela.** I nie czyniliśmy tego w rzeczy samej. A wiesz dlaczego, mój ojciec? Bo widzieliśmy że ich nauka była dla nich tak naturalną, jak Twoja nauka dla Ciebie.

**Sang.** A więc —

**Eliasz.** Cóż więc jest prawdziwym chrześcianstwem? Przecież nie to, co oni wyznają?

**Sang.** Dajmy na to, że nie — więc i cóż w tem złego? Postępują tak, jak umieją?

**Rachela.** Kochany ojciec, — czyż zatem chrześcianstwem jest to, co na całe miliony ludzi jeden tylko zdołał osiągnąć?

**Eliasz.** Czyż wszyscy inni byliby tylko partaczami?

**Sang.** A któż według ciebie, jest chrześcianinem?

**Eliasz.** Chrześcianinem nazywam tylko tego, kto przejął od Chrystusa tajemnicę doskonałości i według niej postępuje we wszystkim.

**Sang.** Jak ty to pięknie i wdzięcznie określiłeś! Jest coś w tobie z subtelnej inteligencji twej matki. — Oh, było to zawsze mojem wielkiem marzeniem, że ty kiedyś może — — Nie, nie, nie! — Przyrzekłem to wam, więc dotrzymam. Więc mówisz? — Tak, określenie doskonałe!

Ale mój synu, dla czegoż nie miałyby być wolno każdemu usiłować, czy nie zdoła zostać prawdziwym chrześcianinem, nie zasługując jeszcze przez to na miano partacza? Czyż właśnie w tym wypadku nie jest potrzebną żywa wiara?

**Eliasz.** A więc sam to wyznałeś! Choćbyśmy dążyli do tego ze wszystkich naszych sił, to jeszcze potrzebną jest wiara.

**Sang.** Zapewne —

**Eliasz.** Ale tak jak prawy chrześcianin postępuje tylko jeden człowiek — a tym jesteś ty ojciec. Inni — nie, nie obawiaj się! Nie mówię tego, aby ich oskarżać. Jakież prawo miałbym ja do tego? Inni — albo strącają z tego chrześcianstwa tyle, że je ze spokojem przyjąć mogą, — albo usiłują wprawdzie je osiągnąć i — robią fiasko. Tak, fiasko, to najwłaściwsze słowo.

**Rachela.** Tak, tak właśnie. Dlatego mówiłam do Eliasza. Kiedy te ideały do dziś dnia tak mało odpowiadają ludzkim stosunkom i ludzkiej naturze, to chyba nie pochodzą one od Wszzechmocnego.



**Sang.** Tyś to powiedziała?

**Eliasz.** Ta wątpliwość Racheli nie dawała nam odtąd spokoju.

Poczęliśmy badać. Poczęliśmy szukać wstecz tych ideałów w historii — i wyszliśmy daleko poza rachubę naszej ery.

**Rachel.** Te ideały, wszystkie razem, są o wiele starsze niż chrześcijaństwo.

**Sang.** Wiecie o tem, moje dzieci.

**Eliasz.** O wiele wcześniej głosili je inni marzyciele — — —

**Sang** — — — marzyciele Wschodu i Grecyi w czasie! powszechnego zwątpienia; kiedy tylko najlepsi zachowali tęsknotę i dążenie do krain, gdzie wszystko miało być nowem — dalej, dalej mówcie! — Ja to znam.

— A więc na tem potknęliście się. Mój Ty Boże!

— Jak gdyby nowe królestwo, tysiącletnie królestwo nie miało być mimo tego prawdą, dlatego, że było dawnym starodawnym marzeniem Wschodu.

— A że daje na siebie tak długo czekać, że aż słabsze usposobienia śmia nazywać je niemożliwym marzeniem, a jego wymogi niemożliwym ideałem — to i czegoż to dowodzi?

— Przeciwno nauce — nie, chyba przeciw tym, którzy ją głoszą. O tak, — wiele przeciw tym, którzy ją głoszą.

Nie chcę więcej o nich mówić, — powiem wam tylko, co mnie się przydarzyło. Widziałem, jak chrześcijaństwo czołgało się na brzuchu, — wszędzie tam, gdzie była większa wyniosłość. Czy nie dzieje się to dlatego, pytałem sam siebie, że wszystek świat wyszedłby z zawias, gdyby się ono podniosło? Czyż chrześcijaństwo jest rzeczą nie do urzeczywistnienia? Czy też może tylko ludzie nie mają dość odwagi?

A niechby tylko jeden spróbował, czy tysiące nie poszłyby za nim? I wtedy poczułem to jasno, że muszę spróbować, być właśnie tym jednym. I tak powinien próbować każdy, jak sądzę. Bez tego niema wierzących. Bo wierzyć, to znaczy wiedzieć na pewno, doświadczyć, dla wiary niema nic niemożliwego, — a więc okazać swoją wiarę!

Czy ja to mówię, aby się chełpić? Bynajmniej, owszem aby się oskarżać. Bo choć tak wysoko wyszedłem i tak wielkiej łaski doświadczyłem, to czyż teraz właśnie nie odpadłem znowu od Boga? Czyż nie wątpiłem w to sam, abym mógł tę tu chorą własnymi siłami uratować? Czyż nie wątpiłem, nie wyczekiwałem pomocy drugich?

Dlatego odjął Bóg odemnie swą rękę. Dlatego dopuścił abyście i wy w to, co możliwe, wątpili, upadli na duchu i przyszli mi to wyznać. Gdyż w taki sposób nadeszła jego godzina. Teraz On nam jawnie okaże, co jest naprawdę możliwe!

Oh — przyszedłszy tu nie mogłem tego pojąć! Teraz pojmuję. Powiniennem s a m to uczynić. Otrzymałem rozkaz i uczynię.

Dlatego to właśnie dzisiaj ta łaska wielkiej pewności i gotowości. Wszystko się zgadza.

Czy słyszysz, Klaro? Nie ja to jestem, który mówię teraz ale ta silna ufność we mnie — a ty wiesz, skąd ona (*ukłęką przy niej*).

Klaro, mój przyjacielu, dla czegoż ty nie miałabyś być Bogu tak drogą jak ktoś inny, kto prawdziwie wierzy? Czyż Bóg nie jest ojcem dla wszystkich?

Miłość Boga nie jest przywilejem wierzących. Ich przywilejem jest miłość Jego odczuwać i cieszyć się nią — i w jej imię czynić rzeczy niemożliwe.

O, moja wierna i cierpliwa! Pozostawiam cię, aby podjąć próbę. (*Wstaje*).

Tak! Aby podjąć próbę! — Idę do kościoła, dzieci; chcę być sam. I nie prędzej z niego wyjdę, aż otrzymam z rąk Bożych: sen dla matki a po śnie zdrowie, aby mogła wstać i bawić między nami. Nie bójcie się! Czuję, że tak będzie! Nie otrzymam tego odrazu, bom wątpił. Ale wytrwam i czekać będę aż przybędzie Pan dobry i surowy. — Bądźcie zdrowi! (*Rzuca się na kolana przy Klarze i pogrąża w krótkiej modlitwie*). Bądźcie zdrowi. (*Całuje ją, ona leży nieruchoma. Poczem wstaje*).

Dzięki wam, moje dzieci! Przyszłyście mi z większą pomocą niżby można było przypuszczać.

Teraz sam uderzę w dzwon na własną modlitwę. Przy pierwszym odgłosie dzwonu wiecie, że zacząłem modlić się za matkę. Pokój z wami!

**Anna** (*otwiera mimo woli drzwi przed nim. Sang wychodzi*).

To jest — — to jest — — (*Wybucha płaczem*).

**Eliasz.** Muszę go widzieć, muszę zobaczyć, jak wchodzi (*wychodzi*).

**Rachela.** Mamo, mammo!

**Anna.** Nie mów do niej. Patrzy na ciebie, ale nie mów do niej.

**Rachela.** Ja się boję!

**Anna.** Widać stąd twego ojca. Patrz, już dochodzi do kościoła. Chodź tu bliżej.

**Rachela.** Nie! — — nie, ja tego nie wytrzymam. Boję się. — Mamo! Patrzy na mnie a nie odpowiada. — Mamo!

**Anna.** Cicho, Rachel! (*Słychać dzwonek*).

**Rachela** (*ukłęką; wkrótce potem wybucha przytłumionym głosem*). Boże! Anno!

**Anna.** Co takiego?

**Rachela.** Mama śpi.

**Anna.** Śpi?

**Rachela.** Mama śpi.

**Anna.** Rzeczywiście?

**Rachela.** Muszę zawołać Eliasza. Muszę mu to powiedzieć! (*Wybiega*).

**Anna.** Śpi jak dziecko. O mój Boże. (*Ukłęką*).

(*Słychać grzmot przeciągły, silny, coraz silniejszy; wzmagają się straszliwe. Z dworu dochodzą krzyki. Dom drży w posadach. Grzmot wzrasta*).

**Rachela** (*za drzwiami*). Góra spada (*wpada krzycząc*). Góra obsuwa się na kościół! Na nas! Wprost na kościół! Na nas! Na ojca! na nas! toczy się, toczy — jak ciemno — Oh! (*przykucną do ziemi i kryje twarz w dłoniach*).

**Eliasz** (*za drzwiami*). Ojcie! — Ojcie! — Oh!

**Anna** (*przechyliła się przez łóżko siostry*). Już nadchodzi! Już, już nadchodzi!

(*Huk dochodzi do punktu najwyższego. Potem zmniejsza się stopniowo. W miarę tego słychać coraz wyraźniej głos dzwonka*).

**Anna** (*zrywając się*). Dzwoni! Żyje!

**Rachela.** Żyje!

**Eliasz** (*z zewnątrz*). Ojciec żyje. (*Bliżej*). Kościół stoi (*wchodzi*) kościół stoi, ojciec żyje. Tuż nad kościołem cała lawina poszła nieco w bok, — zwróciła się na lewo. On żyje i dzwoni, o Boże! (*Rzuca się na łóżko matki*).

**Rachela.** Eliasz! — Mama? —

**Anna.** Śpi.

**Eliasz** (*zrywając się*). Śpi?

**Rachela.** Tak, śpi — (*słychać ciągle dzwonienie*).

**Anna.** Całkiem spokojnie.

Koniec aktu I-go.

### Teatr ogródkowy w Krakowie.

Trupa p. Mareckiego wystawiła w Sobotę d. 23 lipca wodewil Konstantego Krumłowskiego p. t. *Królowa przedmieścia*. Wodewil ten cieszy się ogromnym powodzeniem i prawdopodobnie nadal cieszyć się niem będzie. Jest to rzecz napisana z prawdziwym talentem i choć szwankuje na technice scenicznej, czuje

jednak, że kiedy autor nabierze rutyny w pisaniu dla sceny, da z czasem rzecz lepszą i bardziej jednolitą. Jest w tym wodewilu dużo ruchu, choć nie wiele akcji, co na ujemną szalę się kładzie, jest w nim wiele humoru, choć nie tyle, ile się spodziewać można było po dowcipnym autorze piosneczek à la paryski Bruant. Jest na koniec kilkanaście już prawie typów zgrabnie zaobserwowanych i wprost

z ulicy a raczej przedmieścia na scenę przeniesionych. Typy te wzięte z przedmiejskiego milieu są interesujące ze względu na ich oryginalną gwarę i ciągły humor. Akt I, wcale poprawna expozycja z ciekawym *trucpolką* Rachciachciach, akt II i IV słabsze, ostatni znowu bardzo dobry, ma nawet coś z poezyi przez wprowadzenie elementu flisaków. Z umysłu zostawiłem na koniec akt III, który ma pewien



poważniejszy rys i choć może nieorganicznie dołączony do całości wesołej, powinien zwrócić uwagę. Przemówił tam autor poważniej i szczerze epizodyczną figurą malarza, który rozpija się, maluje pomograficzne sceny żeby żyć i powoli schodzi do kałuży, mimo wielkiego talentu jedynie, a przynajmniej głównie dlatego, że rodzina nie życząc sobie dlań kariery artystycznej, odmówiła mu wszelkiej pomocy. Jestto scena silna, bardzo ciekawa i znamienna dla autora, gdyż obok innych rzeczy wskazuje także, że p. Krumłowski ma talent poważniejszy i może go poświęcić pisarstwu scenicznemu nie tylko dla ogródka. Widać to chyba jeszcze z tego, że młody autor potrafił zachować trudny takt artystyczny, który go ustrzegł od wszelkiej ordynarności i trywialności, od wszelkich radykalnych efektów, od jaskrawych frazesów rzuconych dla rozgrzania galerii i dał wodewil wesoły, interesujący, bez pieprzu i bez trykotów.

Wodewil wystawiono poprawnie. Z całego szeregu grających na wyróżnienie zasługują: panna Bertoletti jako Mańka królowa przedmieścia i panowie Czapski, Ankiewicz, Pol, Niedźwiedzki i Nynkowski. P. Szelański sumienny i doskonały reżyser przygotowuje z nowości: *Champignol malgré lui*, *Hołotę* Dorowskiego, *Ostatnią sukienkę* Szutkiewicza, *Czarotowską tawę* Galasiewicza. *Towarzysza pancernego* Wolowskiego, *Cechmistrza* Ad. Staszczyka.

A. n.

## KRONIKA.

Z powodu wystawy plakatów w Muzeum techniczno-przemysłowym, wydał p. Jan Wdowiszewski broszurę p. t. *Sztuka w plakatach*. Podnieść należy zasługi jakie położył p. Wdowiszewski w organizowaniu tej wystawy ciekawej, zebraniu kilkaset artystycznych plakatów wszystkich narodów, ułożeniu bardzo dobrego i pełnego informacji katalogu, ale obniżyć należy zasługę jego z napisania owej broszury, która raczej powinna nosić tytuł: *Katechizm a plakat, albo Etyka plakatowa, albo nakoniec: Wiązanka rozmyślań z powodu otwarcia wystawy plakatowej*. Broszura ma cztery rozdziały. Z tych pierwszy wykazuje dziejowe, ewangeliczne posłannictwo plakatu. Autor zbija bardzo słusznie pojęcie, jakoby powstawała jakaś nowa sztuka plakatowa ale fakt wielkiego już przemysłu artystycznych plakatów tłumaczy zasadę renesansową nadawania wszystkim objawom życia charakteru estetycznego. W tym duchu więc demokratyzuje się sztuka, przenosi na ulicę i plakat jest jednym ze stanowiących objawów tej demokratyzacji sztuki i ma zastąpić dawną sztukę publiczną: dekoracje kościołów, gobeliny, malowania fasad, al fresco, procesje, pochody i t. d. W tym charakterze ma on podnosić(?) i uszlachetniać(?), spełniać doniosłą etyczną propagandę(?) wywierać z bawienny wpływ na szerokie warstwy(?), estetycznie uszlachetniać(?) tłumy a świat inteligentny (tu p. Wdowiszewski ma na myśli wszystko to, co się wieczorem schodzi u Hawelki) znajdzie w nich moralny odczynnik przeciw truciznie symboliczno-mistycznej! Tu p. Wdowiszewski daje ricochet w bok, w stronę poezji, która pełna pozaświatowej tajemniczości napelnia odrazą i sączy jad zatrważający duszę..... radców Magistratu stol. miasta Krakowa. Poglądy swoje streszcza p. Wdowiszewski w nazwaniu plakatu przystanią zdrowia. Wyobraźmy sobie teraz róg pierwszej lepszej ulicy z plakatami, między innymi plakat: Agatol, pasta najlepsza do zębów bez mydła, do nabycia wszędzie—i tłum, który stoi dla odcznięcia świeżym powiewem zdrowego humoru, tchnieniem jużto realistycznym, jużto wesołym, monumentalnym lub pompatycznym. Wyobraźmyż sobie kilku zawianych panów, którzy trując się

długo jadem świeżo nabitego pilznera, stoją przed plakatem Agatolu, który »potrafi żywsze sympatyczniejsze uczucia i myśli, aniżeli t. z. arystokratyczna sztuka, dolewająca oliwy do ognia gorzkiego życia«!!! Sic! W drugim rozdziale rozszerza autor dalej swoje poglądy na etyczne cele plakatu, rozrzucając po drodze takie kwiatki jak: sztuka jest służebnicą życia, artysta wykonawcą potrzeb życia, »artyzm rozwija moc swą w zaspakajaniu trzeźwych potrzeb istnienia«, »artyści winni szukać oddźwięku dla swych aspiracji w szerokich masach«. Hej tam panowie mistycy i symbolicy, słyszycie głos wołającego na puszczy dyrektora Wdowiszewskiego! Zawijamy w Krakowie Towarzystwo przestrzegania obyczajności i estetyczności publicznej, a plakat będzie naszą amboną, z której liniami i barwami (zredukowanymi według elementarnego ich słownictwa) i słowem będzie przemawiał prezes »Towarzystwa p. o. i e. p.« »o truciznie sztuki arystokratycznej«.

Zaznaczywszy dalej słusznie, że plakat jest także dokumentem życiowym historyczno-kulturalnym przechodzi autor do polskiego plakatu, konstatację jego brak, swojską odporność absolutną względem nowatorstwa, pogardliwą i zacofaną niechęć do reklamy. Rzadko, bo tylko dla wystawy lwowskiej pokazujące się plakaty p. Stachewicza nie rozgrzewają tak wszystkich jak szanownego autora, co prawda, ale to już wina wrażliwości jednostki a ani p. Stachewicza ani autora.

W trzecim rozdziale rozpędziwszy się z żywym temperamentem, daje autor kilka zwięzłych uwag o tem, co poprzedziło plakat artystyczny, o udoskonaleniu się sztuki rysunkowej, poczem próbuje dać plastyczny obraz ewolucji kierunków piękna w XIX wieku, fermentu pojęć etycznych i robi to w sposób niesłychanie humorystyczny. »Po zaciętej walce klasycyzmu z romantyzmem naturalizmu z idealizmem, absolutnego realizmu z umiarkowaną wiernością uaturze, a więc z realnym idealizmem, wreszcie po walce symbolizmu i mistycyzmu z humorystyczną trzeźwością (oklaski z prawicy, lewicy i centrum), czyż mogła ta kultura skończyć na czem innym, jak nie na łonie natury krynicy życia i prawdy (głos: na plakatach). Jak widzimy, straszna ta walka pojęć w mózgu autora wywołała taki chaos, że p. Wdowiszewski musiał wynaleźć jakiś termin pod który by się ostatecznie skrył jak pod parasol i wynalazł: secesjonizm. Tak rewolucja z przed 20 laty poczęta we Francji impresjonizmem (który nawiasem mówiąc odwrócił się tyłem do całej historycznej przeszłości w sztuce... arogant) skończyła się na dzisiejszym... secesjonizmie! Eureka! Po tym wynalazku wraca p. Wdowiszewski od humorystycznej trzeźwości... do informacji seryo i bardzo trafnie wykazuje związek duchowy plakatu z japońską barwną dekoracją i daje historję powstania i rozwoju plakatu bardzo wyczerpującą zmienną i interesującą. Szkoda więc że autor nie poprzestał na tem i upstrzył swą broszurę kwiatkami własnych wrogich poglądów na »sztukę arystokratyczną«, kwiatkami, woniejacymi mocno pilznerem.

W tutejszej Szkole Sztuk pięknych odbyło się w dniu 23 lipca zakończenie roku szkolnego i rozdanie nagród.

Medalu złotego nie przyznano nikomu.

Rozdano następujące nagrody:

W szkole profesora Cynka medal srebrny otrzymał: Boraczek Jan; medal brązowy: Pilatty Gustaw i Gołaszewski Władysław.

W szkole prof. Unierzyskiego medal srebrny: Kowalewski Bronisław i Nowakowski Aleksy; medal brązowy: Ziomek Teodor i Pyfier Kazimierz.

W szkole prof. Malczewskiego: medal srebrny Kuryłas Józef, brązowy Neuman Maksymilian.

W szkole krajobrazów prof. Stanisławskiego: medal srebrny Kowalewski Bronisław i Kamo-

cki Stanisław; medal Brązowy Neuman Maksymilian.

W szkole malarstwa prof. Axentowicza medal srebrny: Pieńkowski Ignacy; brązowy: Łukasiewicz Jerzy.

W szkole prof. Wyczółkowskiego medal srebrny: Bukowski Jan; brązowy: Wachtel Wilhelm.

W szkole rzeźby prof. Dauna medal brązowy: Dunikowski Ksawery, Biegas Bolesław i Pelczarski Bronisław.

Na konkurs dramatyczny imienia Paderewskiego, który upłynął z dniem 1 lipca b. r., nadesłano do Biblioteki warszawskiej 79 różnego rodzaju utworów dramatycznych.

»Budowniczy Solness« dramat H. Ibsena. grany był onegdaj w Paryżu w teatrze Oeuvre. Przyznając i podnosząc zalety utworu, krytyka zarzuca mu brak jasności i przeciążenie szczegółami, co psuje ton akcji i rysunek głównych postaci.

»Johne Firulkes« sztuka w 5 aktach napisana przez Gabryelę Zapolską, wystawiona w tych dniach w Wodewilu, pozyskała sobie wstępny bojem uznanie publiczności, tudzież krytyki, która wysoko podnosi zalety nowego utworu scenicznego utalentowanej autorki. Sztuka ta jest dalszym ciągiem »Malki Szwarcenkopf«, jakkolwiek sam tok akcji niewiele ma z »Malką« wspólnego. Każde przedstawienie ściągają tłumy publiczności. Nie ulega wątpliwości, że dyrekcja teatru krakowskiego postara się w sezonie jesiennym o wystawienie tej sztuki na deskach naszej sceny.

Morawska Orlice, dziennik wychodzący w Bernie, помещa w nr. 166 streszczenie artykułu prof. Zdziechowskiego »Wzajemność czesko-polska«, помещzonego w 25-tym numerze »Życia«.

Artykuł o Leopardym jest przedrukiem z ostatniego numeru »Złotej Pragi«; uskuteczniamy go po zasięgnięciu zezwolenia redakcyi.

## Korespondencja Redakcyi.

H. J. w Krakowie. »Fotografia« dobra. Prosimy nadesłać więcej, najmniej cztery, sześć,—wówczas wydrukujemy je razem.

Zdzis. Art. »Sonety« drukowane nie będą, jakkolwiek nie są bez wartości. Rękopis do zwrotu.

A. Müll. Lwów. O zapowiedziany artykuł prosimy. Temu panu należy się nauka. Pozwolimy sobie wyrazić zdziwienie, jak redakcyja pomienionego pisma mogła umieszczać podobny artykuł! Wszak paszkwile nie podpadają chyba pod kategorię »wolności zdania«?

Cel. Szcz. Belz. Drukować nie możemy.

Z. Wit. Berlin. Prosimy o inne utwory.

Paryas. Dziękujemy. Bardzo oryginalne, pisane jednak zbyt pośpiesznie, ma o opracowane. Prosimy o coś podobnego z nowszej literatury.

Józef G. Częstochowa. Odnaleziona »Legenda« do zwrotu.

Jan Z. Swoszowice. Dziękujemy, listownie więcej.

## OMYŁKI DRUKU.

Życie nr. 29. Wiersz K. Tetmajera: »Na królewskim jeziorze« strofa 5, wiersz 4-ty, zamiast jakiejś winno być jakiejż; — strofa II wiersz I. zamiast Jeden Bóg czytaj Jeden tu.



Najtańsze pismo codzienne

wydawane we Lwowie

„Słowo Polskie“ wychodzi 2 razy dziennie.

Kosztuje miesięcznie we Lwowie 1 złr. — z jednorazową wysyłką pocztową złr. 1.10, z 2-razową wysyłką złr. 1.35.

## JAN EKIER

handel towarów kolonialnych i win,

Kraków, ul. Karmelicka l. 18,

poleca świeżo nadeszłe towary wyborowej jakości, jako to:

herbatę chińską i rosyjską, oliwę nicejską, sardynki francuskie, śliwki i powidła bośniackie.

Handel zaopatrzone jest w

wielki wybór win,

węgierskich, austriackich i francuskich, koniak francuski firmy Meukow & Co., Courriere & Co., wódki i likiery krajowe i zagraniczne.

Dla letników Quaker Oast Dla letników

najlepszy środek spożywczy do mleka, na zupy, leguminy i t. d.

## MAGAZYN

PRACOWNIA SUKIEN MĘSKICH

w Krakowie,

Rynek, linia A-B 46, I. ptr.

(obok Hotelu Drezdeńskiego)

pod firmą:

Stanisława Sadowska

prowadzone jak dotąd

przez A. Sadowskiego

poleca nadeszłe na sezon wiosenny i letni

materyały sukienne i kortowe

z pierwszych angielskich, francuskich i krajowych fabryk najczęściej renomowanych, po cenach bardzo tanich.

Zamówienia wykonuje punktualnie w wykwintnej i eleganckiej robocie z matery na każdą porę roku.

## Maturzystka

z Seminarium nauczycielskiego żeńskiego w Krakowie

udziela lekcji i przygotowuje do egzaminów wstępnych i poprawczych

uczennice szkół normalnych, wydziałowych i Seminarjów nauczycielskich.

Adres przez Administrację „Życia“.

## Nowe książki

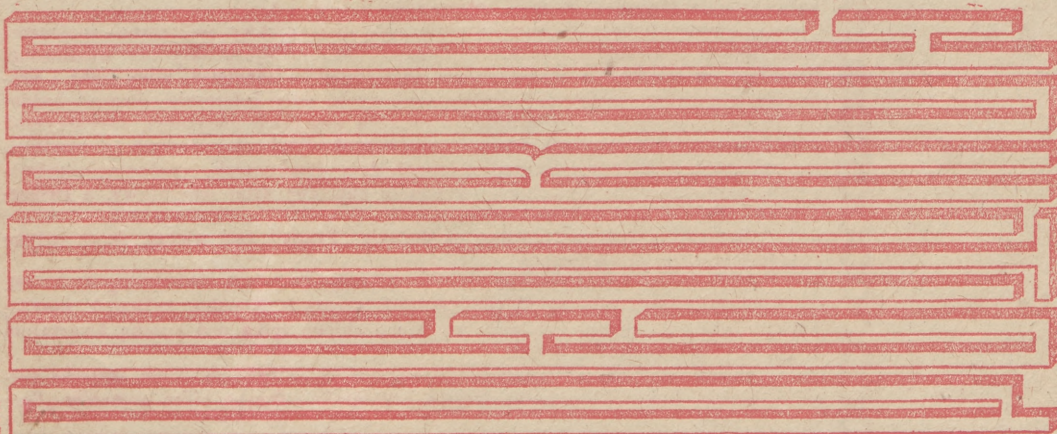
nadesłane redakcyi:

*Baudouin de Courtenay*: »Myśli nieoportunistyczne«. Kraków 1898.

*Zygmunt Przybylski*: »Z rozwoju polskiego teatru. Antonina Hoffmanowa. Kraków 1898.

*F. Mirandola*: »Liber tristium« (poezye). Kraków.

FORTEPIANY Z MECHANIKĄ ANGIELSKĄ  
NAJZNAKOMITSZEJ W AUSTRII FABRYKI



SPRZEDAJE PO TYSIĄC KORON WAL. A.  
GABRYEŁSKA KRZYSZTOFORY KRAKÓW.

Pomijęzy naturalnemi wodami szczawowemi zajmuje

**Woda orfska**

alkaliczna szczawa  
podług analiz naszych pierwszych powag  
jakościowo naczelnie miejsce.





# „Jednodniówka Monachijska“

Pismo artystyczne

zawierające utwory w dziale malarstwa, literatury i muzyki,  
wydane w Monachium, dnia 19-go grudnia 1897 r.  
jednorazowo na rzecz kształcącej się tamże młodzieży polskiej.

**W dziale literatury** raczyli przyjąć udział następujący pisarze: W. Bugiel, Stefan Gacki, Kazimierz Gliński, Konst. Górski, T. T. Jeż, Jordan, Jan Kasprowicz, Marya Konopnicka, Antoni Lange, Miriam, Adam Mski, Andrzej Niemojowski, Eliza Orzeszkowa, Or-oł, Stan. Przybyszewski, Edward Porębowicz, Lucyan Rydel, Wład. Reymont, Selim, L. Szczepański, Kaz. Tetmajer, Wład. Wankie, Kaz. Wize, Stan. Wyrzykowski, Jan Zakrzewski.

**W dziale malarstwa** zaoferowali swe współpracownictwo następujący artyści: Józef Brandt, Olga Boznańska, S. Buchbinder, W. Czachórski, J. Czajkowski, Eug. Dąbrowski, Aleks. Gierymski, Stan. Grochowski, Em. Jasiński, Leon Kaufmann, A. Wierusz Kowalski, K. Wierusz Kowalski, hr. Otolia Kraszewska, Soter Jaxa Malachowski, A. Markowicz, St. Radzieiowski, St. Bohusz Siostrzeńciewicz, Teofil Terlecki, M. Trzebiński, Wł. Turquier, Wład. Wankie, Feliks Wygrzywański, J. Wodzicki, Jul. Zuber.

Prawo przedruku któregokolwiek działu sztuki zastrzeżone.

**W dziale muzycznym** nadesłali swe utwory następujący kompozytorowie: Adam Lach, Piotr Maszyński, Wł. Żeleński.

Zewnętrzna strona wydawnictwa odpowiada wszelkim wymogom sztuki reprodukcyjnej.

„Jednodniówka Monachijska“ jest do nabycia we wszystkich księgarniach krajowych.

Stały adres w Monachium: E. Mühlthalers's königl. Hof-, Buch und Kunstdruckerei, Dachaustrasse, für „Jednodniówka Monachijska“.

Cena pojedynczego numeru w handlu księgarskim wynosi: w *Ks. Poznańskim i Niemczech* 3 m. 50 fen., z przes. 3 m. 80 fen.; w *Galicji i Austrii* 2 zł., z przes. zł. 2:25; w *Królestwie i Rosji* 2 rs., z przes. 2 rs. 4 kop. **Komitet.**

## „LEGENDA“

poemat dramatyczny

Stanisława Wyspiańskiego  
pojawił się w handlu księgarskim  
— w ozdobnym wydaniu. —

Abonenci *Zycia* mogą za pośrednictwem administracji nabywać „Legendę“ za cenę 30 et. (markami).

## Taffty

czysto jedwabne mieniące się (glace) oraz w kolorach gładkich i czarnych, tudzież i inne modne materye jedwabne w doborowych gatunkach, w wielkim wyborze i po cenach fabrycznych poleca

**Skład towarów modnych**  
**L. SCHUDMAK**  
KRAKÓW  
Rynek główny 1. 11.

## MAGAZYN MÓD

pod firmą

### JANINA

w Krakowie ul. Szewska 11, I. p.

poleca na sezon wiosenny w wielkim wyborze: Kapelusze słomkowe i tuliowe; Modele paryskie i wiedeńskie, Kapotki dla starszych Pań. Kwiaty, Fesony, Pióra. Przyjmuje kapelusze do ubierania, Pióra do fryzowania.

Ceny możliwe niskie.

Zaproszenie do przedpłaty.

## „PRACA“

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA WSZYSTKICH STANÓW  
poświęcony sprawom handlu, przemysłu i rolnictwa

w swoim rodzaju jedyne i najtańsze czasopismo  
wychodzi w Poznaniu co niedzielę w obszernym zeszycie 24 do 30 stron druku  
przy współpracownictwie doborowych sił.

Dążenia redakcyi „Pracy“ zwrócone są przedewszystkim ku pobudzeniu społeczeństwa do spotęgowania, rozwoju i rozkwitu handlu i przemysłu naszego obok rolnictwa.

„Praca“ zawiera prócz tego piękne ilustracye, bardzo zajmujące nowelki i nader piękne powieści, oryginalne wiersze patriotyczne, życiorysy wybitnych osób, wspomnienia historyczne i pośmiertne, opisy ludów i krajów, korespondencye ze świata, a w szczególności z wszystkich dzielnic Polski i z wychodźstwa; w końcu podaje „Praca“ wesołe pogawędki miejscowe, dodatek humorystyczny, sprawozdania teatralne, kroniki, rozmaitości i t. d. i t. d.

„Praca“ ogarnia równocześnie wszystkie sprawy polityczno-społeczne, oddziałujące bezpośrednio na kierunki zawodowe; podaje praktyczne wiadomości handlowe, w ich liczbie wyczerpujące sprawozdania handlowe, ceny zbóż i produktów z rynków tutejszych i międzynarodowych; dalej informuje „Praca“ każdego kupca, przemysłowca i rolnika o rozwoju wszelkich instytucyi, stowarzyszeń i spółek, o rozporządzeniach władz i najnowszych wyrokach sądowych, o wszelkich transakcyach sprzedaży i kupna, zmianach firm, konkursach, subhastach, submisjach, najnowszych wynalazkach, wrzeszczie obszerny dział inseratowy, a zwłaszcza wakansów i szukających miejsc.

Prosimy o łaskawe gorliwe popieranie „Pracy“ tem więcej, że to jedyne tygodnik w całej Wielkopolsce.

„Praca“ zapisana jest na poczele: Zeitungs-Preisliste Abtheilung II. t. 86. Prenumerata wynosi na wszystkich pocztach Niemiec tylko 1 markę kwartalnie. Po za granicą państwa Niemieckiego tylko pod opaską kwartalnie 1 złr. — Za Oceanem 1 dolar.

Pismo jak „Praca“ powinno się znajdować w każdym domu szczerze polskim. Każdy, kto tylko zażąda otrzyma bezpłatnie i franko kilka numerów „Pracy“ na okaz.

Adres: „Praca“ — Poznań (Posen) ul. Rycerska 38.